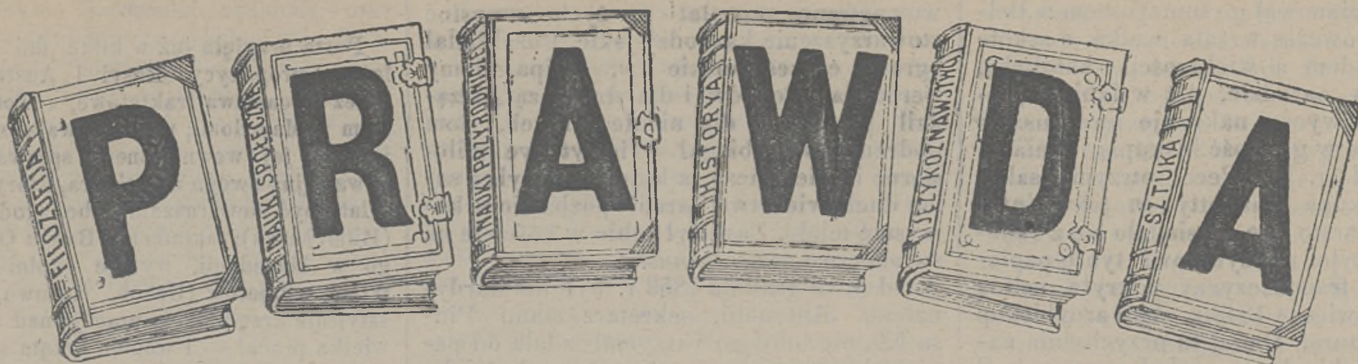
Nr. 10 (1158). Warszawa, 22 Lutego (7 Marca) 1903 r. **Rok XXIII.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



LEON XIII.

Ród Peccich, z którego wyszedł papież, święcący obecnie 25-letni jubileusz swej działalności, miał w w. XII gniazdo swe w Sienie. Jedna jego odrośl powędrowała w XVI w. na południe do rdzennego państwa papieskiego i osiedliła się w maleńkiem Curpinetto, pomiędzy Apeninem środkowym a Monti Lepini na porzeczu Garigliana. Sam koniec XVIII stulecia zastaje tam Ludwika Pecci, nazywanego pułkownikiem, wraz z żoną, Anną Busi, jakoby od głośnego trybuna, *in petto* wskrzesiciela Rzymu, Rienziego, ród swój wywodzącą, i z kilkorgiem dzieci. Pułkownik w małej mieścinie i jej okolicach jest pierwszym między ostatnimi: ma pałac, bardzo pięknej budowy w samym grodzie, ma willę w okolicy, jest zamożnym posiadaczem ziemskim, w potrzebie ratującym lud od głodu. Brat jego w Rzymie uprawiający adwokaturę, ale we własnym pałacu. W rodzinie Ludwika wszystkiem jest jego żona, on sam więcej do Jezuitów i Franciszkanów, niż do ojcowstwa swojego lgnie. Małżeństwo żyje przecież zgodnie, a przewaga niewiasty nad mężem zapewnia rodzinie ciągłą troskę, energię i przedsiebiorczość. Po trzech już synach d. 2 marca 1810 r. w starem domostwie rodzinnem przychodzi na świat czwarty. Biskup poblizkiego Anagni, tak głośnego z dziejów Bonifacego VIII i Colonnów, do imienia obranego przez rodziców „Wincenty,“ dodaje swoje, „Joachim.“ Chłopiec do 8-go roku chowa się w uroczej krainie, którą tylko bandytyzm i bieda nieszczęśliwie trapią. W r. 1818 matka zawozi obu najmłodszych synów do szkół w Viterbo. Dziecko, szczupłe, ale zdrowe, zimne i skryte, ale dobre, ciche, milczące ale zdolne, z twarzą nie piękną, lecz charakterystyczną, zyskało sobie u kolegów przezwisko *mater pietatis*, od upatrzonego podobieństwa do jakiegoś starego obrazu Matki Boskiej. Malec robił szybkie postępy; szczególniej umiłowawszy sobie łacinę, której nauczał jakiś Garibaldi, już w 12 roku życia witał wizytatora szkół wcale zręcznym, nawet kunsztownym epigramatem. W Viterbo uczył się Joachim aż do śmierci matki w r. 1824. Wtedy już, ulegając jej woli, zaciągał się jako aspirant do Jezuitów. Od października 1825 r. wyższe nauki pobierał w Collegium Romanum, świeżo wówczas postawionem na stopie uniwersytetu księżego. Studyował klasycyzm a wysoko wykształcił się w łacinie. W r. 1828 w kilka godzin napisał heksametrem poemacik 120-wierszowy; na popis w prozie dał obraz *chiaroscuro* Napoleona i Piusa VII. Po roku już na wydziale filozoficznym odbył dysputę, po której zwierzchność zapisała przy jego nazwisku: okazał takie zdolności, że wydaje się powołanym do wyższych przeznaczeń. Wprowadzony do Watykanu, uczuł silny pociąg do Leona XII; zgon jego (1830) przyjął z boleścią, a w najważniejszej chwili życia swego myślą do niego powrócił. W r. 1831 ukończył swoją filozofię teologiczną — tak świetnie, że go Col. Germanicum powołało na repetytora. Co potem jeszcze studyował przyszły papież — nie wiemy, ale uniwersytet gregoryański dopiero w r. 1832 opuścił. Wtedy jako dobry szlachcic a zdolny młodzieniec zastał przed sobą naoścież otwarte podwoje Akademii szlacheckiej w Rzymie (dei Nobili Ecclesiastici): stąd robiło się karyerę. Tu wystudyował prawo kanoniczne i już w dwu dysputach jednego roku, 1835, zajaśniał: karyerę miał pewną. Starodawna Sapienza wystawiła już 25-letniemu uczonemu dyplom *honoris causa*.

Daleki od ascetyzmu, śladów nabożności nawet po sobie niezostawiający, już jako 20-letni młodzieniec stosunki kościoła objemował raczej wzrokiem świeckim, niż duchownym. Drgnienia rewolucyjne 1830 r., interwencyę austryacką powitał okrzykiem: „Silna tylko władza zdusić może rewolucyę.“ Austryę też, która dusiła, szczególniej sobie umiłował. Francya niepodoba mu się z rewolucyjnego wrzenia po r. 1830; w Hiszpanii woli krystynistów niż karlistów. Nawet zabawy świeckie nad ćwiczenia duchowne przekłada; rok w rok podczas wakacyj oddaje się namiętnie myśliwstwu. Przytem po za studyami w akademii pisze ciągle wiersze i zagłębia się w pisarzów rzymskich. Protekcya kardynała Sali w r. 1837 daje mu, już po skończeniu wszelkich nauk, nominacyę na prałata domowego, referendarza kancelaryi della Segnatura i członka kongregacyi di Buon Governo, która to nazwa osłaniała, wprost przeciwnie, rządy bardzo złe, jakimi Stolica Apostolska darzyła swych poddanych. Przybyły mu wkrótce do tych godności i inne: został jeszcze członkiem dwu kongregacyj: *De propaganda fide* i *Regularium et episcoparum*. A wszystko to spadało na prostego kleryka, zaledwie cztery niższe święcenia posiadającego. Już jako w zaszczyty wyposażony dopiero w ostatnim dniu roku 1837 został Joachim kapłanem. Pierwszą mszę odprawił w kościołku polskim św. Stanisława, w sam nowy rok 1838.—W Benewencie panowały rozboje i przemytnictwo: trzeba było delegata silnej ręki. Grzegorz XVI posłał tam już d. 2 lutego 1838 Pecciego. Przyszły papież na nowem stanowisku niebezpiecznie zachorował; w pół roku dopiero zdrowie odzyskał. Wziął się zaraz do rozbójników, urządził wyprawę, sam stanął na jej czele, sam plan ułożył i przeprowadził i spędziwszy rozbójników w ostęp, z którego nie było ujścia, rozbójnictwo na lat kilka wytępił. Ściganie przemytników dotknęło pośrednio i szlachtę zameczkową, pyszną a nieraz z kodeksem zadzierającą. Delegat poradził sobie i z przemytnictwem i ze szlachtą: zagroził jej zamkiem św. Anioła.

Po czterech latach dostał awans do Spoleto, ale zanim się w drogę wybrał, już otrzymał wyższe jeszcze powołanie na delegata do Perugii, zagrożonej wtedy przez Mazziniego i Garibaldiego. Jeden rok tylko, do końca 1841, wystarczył energicznemu zarządcy do usunięcia nadużyć, najgrubszych, najelementarniejszych, które głównie czyniły lud umbryjski podatnym na namowy rewolucyjne. Utrzymana powaga władzy papieskiej, mimo wdrożonych już reform nietkniętej, podniosła jeszcze dla niego uznanie u Stolicy Apostolskiej:

nagle dobry administrator miał się rozwinąć w dobrego dyplomatę, chociaż po francusku nie mówił. W końcu r. 1842 Grzegorz XVI mianował go nuncyuszem w Belgii, gdzie wówczas wrzała walka o szkołę między rządem a większością katolicką, silniejszą w narodzie, niż w Izbie reprezentantów. Zwyczaj nakazuje nuncyuszów zaopatrywać w godność biskupią. Dnia 27 stycznia 1843 r. ks. Pecci otrzymał sakrę na arcybiskupa Damietty *in part. infid.* Małe Carpinetto nie posiadało się z radości: zawróżyło nuncyuszowi tyarę papieską. Braki francuzczyzny pokryła usilna praca, i na wiosnę 1843 r. objął arcybiskup swą nuncyaturę. Umiał tu przychylnie nastroić dla siebie dwór, zyskał powagę, król ulegał jego zdaniu, rząd nie miał w nim ani egzekutora surowego, ani intryganta. Nuncyusz zwracał głównie uwagę na uniwersytety katolickie, rozstrzygnął spór między Jezuitami w Lovanium a Jezuitami w Namur na korzyść pierwszych, postarał się o założenie umyślnego kolegium dla Belgów w Rzymie, zakony belgijskie podciągnął pod swą władzę w charakterze wikaryusza apostolskiego, obstawał za biskupami przeciw rządowi, bronił kościoła, nie obrażając państwa. Gdy w r. 1845 opuszczał Belgię, nie zostawiał tu po sobie nieprzyjaciół.

Powołaniem, które go wyrwało z drogi dyplomatycznej, było powierzenie mu jednej z najpierwszych katedr we Włoszech: biskupstwa w Perugii, z wyjątkowo jemu tylko nadanym tytułem arcybiskupa. Wielkorządca wracał do stolicy Umbryi jako *ordinarius loci*; ale się nie spieszył. Chciał wprzódy poznać trochę Europę: zwiedził Prusy nadreńskie, spędził dłuższy czas w Kolonii, w Trewirze i Akwizgranie; pojechał do Anglii, był na dworze królowej Wiktoryi; zabawił w Paryżu: cały rok 1845 i część następnego, zażywał swobody podróżnika. Gdy zawitał do kraju, Grzegorz XVI umierał (zm. 1 czerwca 1846). Biskupstwo rzeczywiste sprawował miał nominat za Piusa IX, który już go nie przerzucał z miejsca na miejsce. Przez 31 lat rządził Joachim Pecci dyecezyą umbryjską, a rządami tymi dowiódł nietylko zdolności politycznych, które przedtem był okazał, ale i uzdolnienia zawodowego, o którem można było wątpić. Był biskupem, gorliwym, niespuszczającym się na konsystorz. Trzydzieści sześć kościołów własnym nakładem i staraniem wybudował; seminaryum podniósł, programat szkolny wzbogacił, sam był jego rektorem rzeczywistym, sam nieraz zastępcą, wyręczycielem opieszałych i lekkomyślnych. Założył dla filozofii teologicznej Akademię św. Tomasza. Dbał też o stowarzyszenia pobożne i szkoły dla ludu, które również pobożnemi, duchownemi być musiały. Wydał katechizm dyecezyalny; urządzał misye wewnętrzne, powołał do życia umyślne stowarzyszenie kaznodziejskie. Pozakładał ogrody chrześciańskie św. Filipa, domy sierot dla chłopców i dla dziewcząt, urządził przytułek dla nieuleczalnych, dom podrzutków; zabiegał o instytucye miłosierne i opiekuńcze, z których nietylko samo duchowieństwo parafii pozbawione korzystać miało. Zasłużył sobie w kościele na świadectwo *pastor bonus*.

Od d. 19 grudnia 1853 r. był już kardynałem. Antonelli, sekretarz stanu Piusa IX, nie lubił go i trzymał zdala od papieża i urzędów najwyższych w kościele, do jakich powoływały arcybiskupa zdolność jego i wziętość. W Perugii doczekał się ksiądz Pecci wielkiego przewrotu narodowego w systemacie politycznym Włoch; w czerwcu 1859 r. miasto jego rezydencyonalne wpadło w moc powstania. Wojsko papieskie odebrało je w sposób nieludzki. O ile mógł temu zapobiedz biskup, a nie zapobiegł — nie wiemy; wstawianie się za jeńcami po czynie kwestyi nie rozstrzyga. W r. 1860 wtargnęły już wojska piemonckie, zajęły sam pałac biskupi i seminaryum, rozstrzelały księdza, nie zważając na wstawienie się dostojnika kościelnego. Arcybiskup przebywał chwile ciężkie ze stałością umysłu, z tą współmiernością namiętności i myśli, popędu i rozwoju, która stanowi zasadę jego charakteru. Przewrót pobudził energię umysłową w kierunku, któremu tak wybitnie hołduje Joachim Pecci jako papież: po roku 1860 wydał kilka listów pasterskich o papiestwie, kościele, państwie, cywilizacyi i moralności. Są tam już ziarna późniejszego siewu. Po śmierci Antonellego (1876) Pius IX, wyzwolony z pod jego wpływu, zwrócił uwagę na biskupa Perugii. D. 21 września 1877 r. zamianował go kardynałem-szambelanem (*camerlengo*), oddawał mu tym sposobem rządy na czas wyboru swego następcy; w półpięta miesiąca po nominacyi śmierć Piusa IX (d. 7 lutego 1878 r.) powołała go do tych rządów. D. 18 lutego zebrało się *conclave* z 61 kardynałów, w kaplicy Sykstyńskiej, ale głosowało dopiero nazajutrz. Wieczorem tego dnia miał już kardynał Pecci 38 głosów. D. 20 lutego zrana już 44; więcej nie potrzebował: został papieżem. Słynne „proroctwo Malachiasza" dawało kościołowi i chrześciaństwu katolickiemu po *crux de cruce — lumen de coelo*. Światłem więc miał być nowy papież, który przez przywiązanie do Leona XII obrał sobie odrazu jego imię. (D. n.)

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Porta przyjęła już w kilka dni (24 lub 25 lutego) propozycye Rosyi i Austryi, poparte przez mocarstwa traktatowe, a dotyczące reform w Macedonii; podziękowała nawet za zajęcie się jej wewnętrznemi sprawami; zamianowała już owego inspektora, ktory ma przez 3 lata być niewzruszalnym bez zgody mocarstw, (Hilmi basza); zakłada filie Banku Ottomańskiego w Macedonii, wydaje okolniki do walich trzech wilajetów (Uskub, Kosowo, Salonika), sztyftuje urzędników, pracuje nad amnestyą — wielka praca! — i wogóle krząta się na papierze z pozorami dobrej woli. Jednocześnie wszakże nie zapomina i o uzbrojeniach, przed Europą nowe jednostki, wyprowadzane na linię, podaje tylko za mające zastąpić dawne, już znużone. Tego samego obowiązku względem samej siebie nie zaniedbuje i Bulgarya, na którą, rzecz prosta, krzywem okiem patrzą Serbia i Rumunia. Ministrowie bułgarscy rozprawiają już o przyszłej Bulgaryi, obierając Wardar za jej granicę. Albańczycy, gorętsi patryoci od Turków, w cichości przygotowują zamach na spodziewane po reformach porządki; wojsko starło się już z nimi. Zresztą reformy te w życiu, nie na papierze, są dalsze od owej fatalnej wiosny. Komunikat *Gońca Urzędowego* ostrzega Bulgarów i wogóle narodowości bałkańskia skłonne do ruchu, aby się go wyrzekły: „Rosya nie poświęci ani jednej kropli krwi swych synów," gdyby państwa słowiańskie nie usłuchały rad dawanych zawczasu. Pokój ma być bezwzględnie utrzymany, ale Bulgarya o pokoju nie myśli. Komitety macedońskie istnieją w samej nawet stolicy Turcyi. W końcu lutego policya na Pera stoczyła krwawą walkę z jednym z takich związków; ostatecznie Bulgarów uwięziono. Siedmiu było rannych, ale zato trzech żołnierzy tureckich zabitych. Na pograniczu Bulgaryi i Turcyi nowe oddziały od 80—200 ludzi i trzy już potyczki. W dyplomacyi domniemanie bardzo poważne, że za każdą milę kwadratową *au delà de Mitrovitza*, zyskaną przez Austro-Węgry, Włochy wezmą, za dobrowolną ich zgodą, milę kwadratową w Albanii.

Następcą Bittera obdarzonego orderem korony pierwszej klasy, na urzędzie nadprezydenta „prowincyi poznańskiej" został Waldow z Królewca, kolega uniwersytecki cesarza. Ma to być mąż silnej ręki. — Na nadburmistrza Poznania rada miejska wybrała aż z Düsseldorfu ławnika, dr. Wilmsa, katolika. Wybór rozstrzygnęli Polacy. Cesarz Wilhelm pobudził ministrów do zalecania jako zbawczej dla patryotyzmu niemieckiego na kresach powieści Freytaga „Soll und Haben" (r. 1848) i tegoż autora „D. Ahnen": przestępstwo podburzania do nienawiści.

WACŁAW NAŁKOWSKI.

WRAŻENIA Z TRZYDNIOWEJ WYCIECZKI do Owernii.

(Dokończenie).

Chcąc o ile można oszczędzić sobie czasu w wycieczkach, udałem się drugiego dnia rano na Place Jaude nr. 4 do biura „Sindicat de Clermont et de l'Auvergne," gdzie niezmiernie uprzejmi urzędnicy udzielają wszelkich objaśnień praktycznych, tyczących się wycieczek po Owernii. Biorę bilet do karetki, która dochodzi do stóp wulkanu Puy de Dôme, wznoszącego się z grzbietu Col de Ceyssat. Dla lepszego widoku zajmuję miejsce na wierzchu karetki; furman w czarnym spencerze z czerwonemi rabatami, jakby ułan, ma na głowie cylinder, a właściwie stożek ścięty; może przez naśladownictwo form wulkanicznych Owernii. Droga biegnie po czarniawej szosie między czarniawymi domami, tonącymi wśród zieleni sadów i winnic, ogrodzonych czarniawymi murami. Wjeżdżamy w „góry," deszcz zaczyna padać coraz rzęsistszy, dokuczając tym zwłaszcza, którzy zapragnęli szerszych widnokręgów; jedziemy doliną potoku, wspinając się coraz wyżej na grzbiet wyżyny; potok wezbrany od deszczu, szumi, otaczając czarne złomy skał białemi pianami, czyni to żałobne wrażenie; żałobnie też wyglądają i domy, zrzadka tu napotykane, zbudowane z czarnych bloków bazaltu, spojonych białym cementem.

Dojechawszy do stóp wulkanu, wznoszącego się stąd o 600 m. wyżej, schodzimy z karetki i zaczynamy wstępować na górę, jak zwykle, zygzakami, które zresztą od czasu do czasu staramy się sobie skracać poprzecznie. Szczyt Puy de Dôme i inni bracia puys kryją się w chmurach, niby w dymie. Gdyśmy doszli do szczytu, deszcz ustał i niebo przetarło się nieco, ale tylko w górze; niżej, na wschodzie, Clermont i cała Limagne giną w białej mgle, niby w kłębach dymu armatniego. U stóp wulkanu widać nieco wyżynę, pokrajaną szachownicą pól zielonych, żółtawych, cynamonowych (kolor zoranego gruntu). Z pośród tej szachownicy, na południe i na północ, wznoszą się szeregiem bracia puys; u samych stóp widnieje, dobrze jeszcze utrzymany, krater popiołowy, Nid de Poule cały prawie porosły trawą, tylko gdzieniegdzie obnażony (płaty czarniawe). Na południo - wschód stąd widać Gergovię, skałę płaską o stromych zboczach, niby piedestał pomnika — i rzeczywiście, jest ona w znaczeniu dziejowem piedestałem pomnika wodza Gallów, Vercingétorixa, którego posąg kamienieje teraz właśnie, oblewany łzami ojczystego strumienia St. Alyre.

Na szczycie, gdzie stoimy, dmie wicher tak szalony, że już nie o utratę kapelusza, ale i głowy można się obawiać; trzeba być silnym w karku, aby wiatr nie zwiał z niego głowy. Wartoby tutaj urządzić sanatoryum dla ludzi o słabym karku, zginającym się za lada powiewem — tu nabrałby może nieco sztywności.

Szczyt Puy de Dôme, na 1470 m. wyso-

Gossler minister wojny w Prusach, opracowuje projekt pomnożenia pewnej części armii niemieckiej trzeciemi batalionami. — W Bawaryi przewrót: Crailsheim oddalony, ster przechodzi do katolików partykularystów. Prezesem ministrów regent zamianował bar. Podevils-Dürnitza. Będzie on zarazem min. dworu i min. spr. zagranicznych. Ks. Luitpold zamierza złożyć regencyą. Ks. Ludwik ma być jego następcą już jako król, jeśli żyjącego jeszcze Ottona można będzie ubezwłasnowolić.

W Izkie Gmin poruszono sprawę przepuszczenia przez cieśniny tureckie 4 małych statków wojennych (torpedówek) rosyjskich. Podsekretarz Cranborne oświadczył, że dotąd stoi w mocy traktat z r. 1856 i 1871. Rząd zapowiedział Turcyi, że skorzysta z przywileju udzielonego Rosyi. — Pogłoski o nowych żądaniach dla armii odparł Brodrick zaprzeczeniem: od r. 1896 armia wzrosła o 56,000 ludzi teraz chodzi tylko o 3,000. Pod bronią posiada dziś Anglia 271,000 wojska liniowego i 60,000 rezerw. Morley ma złożyć Izbie bil irlandzki ułatwiający ludowi rolnemu nabywanie gruntów na własność.

Austrya ma teraz dwóch bohaterów: ministra wojny Pittreicha i dowodzącego w Przemyślu gen. Galgoczego: obaj z pogardą traktują zarzuty wyszłe z Izby co do jawnych nadużyć dowódzcy galicyjskiego. Pittreich nie wahał się oświadczyć w publicznej odezwie, że zarzuty wychodzą od wietrzycieli i denuncyantów. Dotychczas nie ma jeszcze dymisyi. Na Węgrzech d. 27 b. m. były w Izbie sceny o armię. Żądanie odrębności już nie sami tylko koszutowcy stawiają; popiera je częściowo i odłam Aponyi'ego, który przed 10 laty prowadził umyślną agitacyę, a teraz zawstydzony do niej powraca. Sam rząd nawet, wypowiadając się w imieniu całego stronnictwa liberalnego i swojem własnem za wolą utrzymania jedności z Austryą, nie mógł uchylić się od przyrzeczenia pewnych zmian, bliżej nieokreślonych. Ungarissimi zwymyślali całą Austryą i Izbę deputowanych. Prawo wojskowe można uważać na teraz za pogrzebane, a właśnie przyjęła je już ostatecznie austryacka Izba panów. I ugoda zasadnicza, skarbowo-cłowa przez taką postawę Węgrów zagadkową się staje.

We Francyi Senat przyjął prawo o służbie dwuletniej w wojsku. Dochody się zmniejszają. Skarb wypuszcza obligacye. Minister skarbu wprowadza monopol spirytusu.

D. 24 z. m. w rzymskiej Izbie Deput. odegrała się scena karczemna przy sposobności rozwiązania irredentystowskiej Unione Zaratina. Stan zdrowia papieża budził w Watykanie poważne obawy w końcu lutego; trwały ono jeszcze i na początku b. m. Sam Leon XIII uskarżał się na znużenie; zebrawszy d. 1 b. m. w koło siebie kardynałów, powiedział im, że zdaje mu się, iż ma przed sobą *conclave*. Rocznicy koronacyi, 3 marca, jeszcze doczekał.

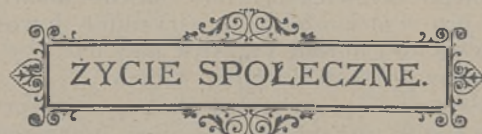
Grecya reorganizuje swą armię.

W Japonii zmarł książe Komatsu, człowiek wielce zasłużony w dziejach tego państwa.

Roosevelt miał mowę, w której powiedział że St. Zjednoczone zamieniły się na mocarstwo wszechświatowe: muszą zatem posiadać silną a dobrą armię. Wtedy tylko będą mogły skutecznie bronić pokoju, jak mąż wierzący w swą siłę i rzeczywiście silny. W New-Yorku odkryto spisek na życie prezydenta. Izba reprezentantów uchwaliła przeciwko zamachom prawo grożące śmiercią za zamordowanie prezydenta, vice-prezydenta, albo uprawnionych ich zastępców, jak również i posła zagranicznego. Sam nawet zamach przy pewnych warunkach ma pociągać za sobą karę śmierci, w każdym razie więzienia 10-letniego. Bowen podpisał protokóły wenezuelskie z Holandyą i Francyą.

W Marokku pretendent jeszcze się trzyma, zebrał nowe kupy; zapowiadają bitwę.

W Portugalii przesilenie gabinetowe. U steru rządu Hintze-Ribeiro z dobranymi przez siebie ludźmi.



NASZE SĄDY HONOROWE.

—✦—

W interesie społeczeństwa leży, aby pojęcia moralne nieustannie się rozjaśniały, a zasady etyczne utrwalały, gdyż wtedy jedynie możemy mieć nadzieję rzeczywistego postępu kulturalnego, sięgającego do rdzenia charakterów ludzkich. Proces zaś rzetelnego umoralnienia odbywa się nietylko przy pomocy wywodów teoretycznych, jakkolwiek są one niezbędne, ale bardziej jeszcze przy pomocy czynów i doświadczeń nieustannych. Najpiękniejsza, tysiąc razy powtórzona, teorya nie wywrze takiego skutku, jak pięć razy powtórzony czyn. I dlatego to, roztrząsając bacznie teorye, musimy jeszcze pilniej kontrolować i rozróżniać same czyny.

Nasza etyka znajduje się na tym samym poziomie, co i inne działy naszej kultury, to znaczy, jest nierozwinięta i chaotyczna. Pozbawieni jasno określonego i ustalonego probierza, błąkamy się wśród masy najsprzeczniejszych reguł, okazując nadwrażliwość w wypadkach błahych, a bezwrażliwość w ważnych, zaplątani zaś w sieć najrozmaitszych przepisów raz powołujemy się na przykazania religijne, drugi raz na rozum, to znowu na zwyczaj lub dobro społeczne, i gdy wreszcie znajdziemy się w trudniejszem położeniu, z którego w żaden sposób wydostać się nie możemy, rozcinamy węzeł szpadą lub kulą, dowodząc tem właśnie, iż zarówno społecznie, jak i etycznie jesteśmy zaledwie oświeconymi barbarzyńcami, którzy najwyższe interesy swojej rasy zdają na los ślepego trafu. Pojedynek stanowi u nas tę ostateczną instancyę, przed którą rozstrzygają się zarówno najniedorzeczniejsze pretensye, jak i najpoważniejsze starcia. W roku ubiegłym odbywała się bez przerwy ta honorowa pukanina, która niczego nie dowodzi, żadnej krzywdy nie naprawia i żadnej winy nie karze.

Obok niej w trudnych wypadkach niosły też ratunek sądy honorowe. W zasadzie jest to niewątpliwie najrozumniejszy i najuczciwszy sposób rozstrzygania wszelkich sporów osobistych. Naprzód unika się publicznego roztrząsania rzeczy takich, które chciałoby się ukryć jak najgłębiej, zwłaszcza przed okiem tej ciekawej i chciwej żeru gawiedzi, co pustkę serca i głowy napełnia skandalem i jak sęp rzuca się na padlinę lub jak skorpion wciska się w najskrytsze tajniki ofiar publicznego procesu. Sądy honorowe dają możność wyrabiania sobie pewnych ścisłych zasad i kryteryów społeczno-etycznych, a dlatego mogą one stanowić doskonałą szkołę obywatelską. Ale do tego, aby one należycie funkcyonowały, trzeba odpowiednich ludzi, których my do miary potrzeb naszych nie posiadamy. Nasze społeczeństwo, hodujące od wieków rozhukane indywidualizmy, nie kształci ludzi bezstronnych, rozważnych i krytycznych. Zazwyczaj sędziowie, przez strony zaproszeni, są ich adwokatami, którzy zamiast sprawę badać *sine ira et cum studio*, odrazu biorą na się rolę obrońców. Zajęcie stanowiska istotnie sędziowskiego, zamiast adwokackiego, nie jest rzeczą wcale łatwą: o tem wie każdy; kto choć raz takie zadanie podejmował a tylko takie stanowisko jest słuszne i odpowiada celom instytucyi. O ile zaś beznamiętne, bezstronne, żadnym względem po za sprawiedliwością nie ulegające wyroki sądów honorowych mają wielką doniosłość społeczną, o tyle stronne, namiętne, ugodowe, palące według przysłowia „i Bogu świeczkę i djabłu ożóg“, wyrządzają wiele szkód moralnych i materyalnych, a przedewszystkiem podrywają grunt ufności i wiary takich etycznych trybunałów. Niestety wypadki tej drugiej kategoryi zdarzają się u nas bardzo często. Oto przed paru miesiącami pisma doniosły, iż gdzieś

---

ki, zasłynął w historyi nauki: tutaj w 1648 r. Perier na propozycyę Pascala, wykonał pierwszą obserwacyę z barometrem, stwierdzającą ideę Toricellego; obecnie ponad ruinami świątyni Merkurego, wznosi się tu obserwatoryum meteorologiczne.

Zeszedłszy z góry, widzieliśmy pasące się na kamienistych nieużytkach wyżyny stada owiec czarnych i białych; pasterze ich chodzą dla kamienistości gruntu, podobnie, jak u nas w Świętokrzyskim, w drewnianych chodakach i dla skrócenia sobie nudnego czasu, zajmują się robieniem pończoch, jak to zwykle bywa u pasterzy owiec.

Powróciwszy już wieczorem do hotelu, spałem tak twardo, jakbym ze dwa lata przesiedział w grocie St. Alyre w towarzystwie Vercingétorixa.

Na trzeci dzień rano przedsiewziąłem piechotą wycieczkę na Gergovię, która, jak wspomnieliśmy, ogranicza z południa cyrkową zatokę Clermontu; jest to jeden z największych pomników dziejowych Francyi.

Wydostawszy się z miasta, szedłem ku południo-wschodowi wśród ogrodów, winnic i łąk, drogami naturalnie czarnemi; do przesypywania kamieni na szosach używają tu innych szpadli, niż u nas: żelazo nie jest osadzone na przedłużeniu trzonka, lecz schodowato. Ogrody i winnice są otoczone płotami z bloków bazaltowych; wśród winnic tu i owdzie sterczą czarne skały. Na drogach snują się wieśniaczki z blaszankami mleka lub koszami jarzyn na głowach. Ubrania kobiet za ciemne: szare, ciemnogranatowe lub czarne. Czasami napotykam pasterza owiec z psami, to znów mignie na koniu kawalerzysta francuski naturalnie w spodniach czerwonych. Konie pociągowe, bez różnicy płci, chodzą tu w słomianych damskich kapeluszach, przez które sterczą nagie uszy; jest to więc zwyczaj odwrotny, niż w Szwajcaryi, gdzie znów same uszy ubrane są w różnokolorowe futerały. Woły owernjackie, zaprzęgane tu do wozów, chodzą znów w woalkach (z powodu much). Niekiedy przejeżdżają powozy arystokracyi miejscowej, w nich, jak zwykle, widzi się często księży, te ofiary „prześladowane“ obecnie przez „despotyzm“ rządu francuskiego, który tamuje ich zamiłowanie „wolności“; nie wyglądają oni jednak jakoś na ofiary; podobni są do naszych — okrągli rumiani, zadowoleni — kto z Bogiem, to Bóg z nim.

Za Romagnat rozpoczynają się stoki Gergovii; na dolnych zboczach rosną winnice i orzechy włoskie na gruncie gliniastym, wśród którego, obok drobnych głazików czarnych, bazaltowych, trafiają się białe, wapienne; jest to wapień słodkowodny, jeziorny, leżący w podstawie bazaltów Gergovii. Wyżej roślinność drzewna nędznieje, występują akacye, tarnina, osty, macierzanka — pastwisko. Tu i owdzie poletka kartofli. W miarę wstępowania na górę skały bazaltowe coraz częściej wysterczają z pod powłoki roślinnej. Wąwozów jednak niema i nie widać zetknięcia bazaltów z wapieniem. Wreszcie wznosi się przede mną strome wejście na krawędź, która spada czarnemi skałami, jak mury zrujnowanej warowni. Wdrapawszy się na krawędź, staję na płaszczyźnie tarasu niższego, a zaraz dalej łatwe już wejście na płaszczyznę tarasu wyższego, górnego, który sięga 800 m. wysokości bezwzględnej. Płaszczyzna to rozległa, około $1\frac{1}{4}$ km. długa, przeszło pół k. szeroka, miała tu więc dość miejsca kawa-

opiekun małoletnich, który umieścił ich sumę na hypotece wiejskiej, pozwał przed sąd honorowy dłużnika, który majątek niszczył, aby przy subhastacyi zapobiedz skrzywdzeniu sierot. Pozywający sprawę wygrał, podobno jednak pozwanemu za kulisami sądu dano „odstępne“.

Obecnie mamy do zanotowania inny znamienny fakt z zakresu obniżania wartości i znaczenia etycznego naszych sądów honorowych. W zeszłym tygodniu *Gazeta Polska* ogłosiła następującą wiadomość:

„*W obronie ojca.* Rzadka sprawa była przedmiotem badań sądu honorowego w Warszawie. P. X., obywatel ziemski, rozpowszechnił opis własnego żywota, w którym oskarżył swego zmarłego kuzyna, pana N., że wyzyskał go przed 50 laty przy rozwiązaniu spółki handlowo-leśnej. Dzieci nieboszczyka, stając w obronie czci swego ojca, wydobyły z archiwów urzędowych i familijnych wszelkie dokumenty, dotyczące tego faktu i złożyły je przed sądem honorowym, który uznał niesprawdziwość zarzutu w całej rozciągłości i stanowczo odparł zamach na czystą pamięć czcigodnego człowieka“.

Jak ten obraz wygląda pięknie i jakie budzi zaufanie do sądów honorowych, wszak prawda! Tak on nas zachwycił, iż postanowiliśmy zajrzeć po za jego ramy. I oto, co zobaczyliśmy.

Niejaki p. Z., obywatel ziemski, uczuwszy potrzebę odegrania względem siebie roli własnego Plutarcha, napisał i w litografowanych odbitkach rozpowszechnił swój życiorys, w którym między innemi rzucił cień na uczciwość zmarłego przed dwudziestu kilku laty swego ciotecznego brata, p. S., oskarżywszy go, że przed 50 laty wyzyskał jego łatwowierność i usunął go postrachem z korzystnej spółki co do sprzedaży lasu. Zarzut ten zbudził zrozumiałą zgrozę w sercach dzieci, czczących swego ojca, a zgrozę tem większą, iż one nietylko patrzyły na jego prawość za życia, ale widzą jej ślady po śmierci w wdzięczności chłopów, zakupujących corocznie nabożeństwo za swego dobroczyńcę—świadectwo znamienne a rzadkie. Pod wpływem oburzenia napisały one ostry i wzgardliwy list z żądaniem odwołania potwarzy. Wreszcie sprawa stanęła przed sądem honorowym, przed którym złożyły kilkadziesiąt dowodów, oba łających zniesławienie ojca we wszystkich punktach. Zapadł wyrok gdzieindziej niebywały, u nas zwykły, w którym wszystkie zarzuty p. Z. uznano za bezzasadne i niesłuszne, ale jednocześnie kazano... dzieciom przeprosić go za ubliżający list. Nie znamy dowodów, nie rozstrzygamy więc samej sprawy, nie określamy winy, bo nie obchodzą nas osoby, lecz czyny—zrobimy tylko parę logicznych uwag:

Jeżeli A oskarża B o wyzysk i matactwo, a zarzut ten okazuje się kłamliwym, to A popełnił potwarz. Jeżeli A popełnił potwarz, to w takim razie dzieci B są usprawiedliwione z najostrzejszego listu do A, a w każdym razie list ten nie może być oceniany w oderwaniu od poczucia przez nich swej krzywdy i od postępku B. Wina większa pochłania mniejszą. Kto uderza kogoś kijem bez powodu, popełnia czyn nikczemny, ale kto uderza napastnika, chociażby nadmiernie, spełnia ruch naturalnej obrony. Wszakże nawet zabicie w obronie własnej nie jest uważane za zbrodnię.

Jeżeli A rozpowszechnił swą potwarz w litografowanych odbitkach, to nie można ich poczytywać za równoważne z listem prywatnym.

Dalej sędziowie nie uprzytomnili sobie należycie tego, iż A żyje i może wystąpić w swojej obronie; zatem urazy jego nie należy stawiać na równi z krzywdą spotwarzonego człowieka, który dawno umarł, nie jest w możności użyć wszystkich dowodów na swą obronę i musi w niej być wyręczony przez dzieci po 50 latach!

Pytanie więc zachodzi, dlaczego sędziowie kazali przeprosić dzieciom oszczercę ich ojca? Powód jest bardzo prosty. Nasze sądy honorowe uważają za szczyt mądrości i sprawiedliwości wydanie takiego wyroku, aby i wilk był syty i koza cała. Nie chcąc ani całkowicie pochwalić jednej strony, ani też całkowicie zganić drugiej, wydaje się wyrok połowiczny, który ostatecznie nikogo nie może zadowolić, który nie jest wymiarem całkowitej sprawiedliwości, bo staje w pół drogi i czyni z sądu parodyę tem niebezpieczniejszą, że zmniejszającą znacznie i doniosłość tej tak ważnej instytucyi społecznej. Połowiczność i niezdolność jasnego postawienia rzeczy jest stałą tendencyą naszych sądów honorowych, wynikającą z braku radykalizmu moralnego, z ulegania względom ubocznym, niepozostającym w żadnym związku ze sprawiedliwością, jak: wiek, stanowisko społeczne, wysokość posiadanego majątku, koligacye itd. Otóż, tego musimy co najrychlej zaniechać i nauczyć się wydawać wyroki sprawiedliwe i jasne, a wtedy dopiero instytucya sądów honorowych zyska sobie należyte zaufanie, wtedy uporządkują się pojęcia i urobią zasady etyczne, wtedy uda się zapobiedz raz na zawsze rozprawom tak niedorzecznym i barbarzyńskim, jak pojedynki, które pozwalają najnikczemniejszym nieraz jednostkom nadawać sobie pozory szlachetności i bohaterstwa, pod któremi kryje się awanturniczość i bandytyzm towarzyski, a nawet społeczny. Wtedy też i ziemianie nasi, zamiast przestrzegać zgubnych tradycyj szlacheckich, każących liczyć się z potencyją „pana brata,“ zdobędą się na wyrobienie sobie zasad rzetelnej, humanitarnej etyki, która będzie świadectwem ich wyrobienia obywatelskiego i dojrzałości społecznej. Wtedy — ale nie wcześniej.

Wojciech Szukiewicz.

LISTY GALICYJSKIE.

Początek emigracyi. Szykanowanie emigrantów. — Ludowcy a Koło polskie. — Sprawa teatru ludowego. — Walka z gruźlicą w szkołach. — Stanowisko nauczycielstwa. — Nowe towarzystwo. — Odczyty p. Lutosławskiego.

Jak zwykle na wiosnę, a w tym roku na większą skalę, niż lat poprzednich, rozpoczęła się gromadna emigracya ludności wiejskiej na zarobki; a choć cała masa emigrantów wyruszy dopiero za kilka tygodni, to jednak już teraz dworce kolejowe Galicyi nawiedzane są przez znaczną liczbę postaci wychudłych i obdartych, uciekających w obce kraje przed widmem śmierci głodowej.

Administracyjne władze galicyjskie rozwinęły już całą energię, aby zahamować falę emigracyi w interesie wielkiej własności ziemskiej. Rozchodzą się wieści o masowych aresztowaniach emigrantów, o odmawianiu pasportów i najrozmaitszych zarządzeniach, utrudniających chłopu wyjazd za granicę. Na dworcu krakowskim-oświęcimskim i bogumińskim agenci policyjni aresztują chłopów wprost tłumami na tej wrzekomo podstawie, że nie opłacili podatku krwi. Starostowie na prowincyi dopuszczają się szeregu nadużyć, byle chłopa od emigracyi powstrzymać. Tak starosta przemyski, Lanikiewicz, domaga się od chłopów, wybierających się jechać do Ameryki, dowodu zwolnienia z poddaństwa austryackiego, co jest najzupełniej sprzeczne ustawami. Starostwo brzeżańskie zakazuje poprostu chłopu emigrować z kraju, oświadczając publicznie na sesyi wójtów, że emigrantom wogóle nie będzie wydawać pasportów. Podobnie dzieje się w innych starostwach — jest to system, wprowadzony w życie dla zapewnienia obszarnikom taniej siły roboczej.

---

erya galijska, by uderzyć na wdzierające się rzymskie legiony i zepchnąć je z wyżyny. I tutaj jeszcze, na tym górnym tarasie, znajdują się poletka kartofli i żyta; grunt brunatny, z rozkładu bazaltów pochodzący, często zeschły w twarde bryły. Głazy bazaltowe, zebrane z pól, tworzą tu wielkie kupy rumowisk.

Po wczorajszym dżdżu pogoda, na czystym błękicie unosi się skowronek, z nieskończonych przestworów idzie lekki powiew, dokoła cisza pustkowia. Przede mną, ku północo-zachodowi, w łukowatem zagłębieniu wyżyny widnieją wieże Clermont, u stóp leży Romagnat, a na lewo wznosi się okrągła baszta na bazaltowej skale — to szczątki zamku Mont Rognon.

Na północnej stronie wyżyny zbudowano bazaltowy cokół z trzema bazaltowymi słupami, — tu miał być umieszczony posąg Vercingétorixa. Napis brzmi:

Gergovia
In his locis dux Arvernorum
Vercingétorix
Caesarem invadentem profligavit.

Stanąłem tu, na tej krawędzi wyżyny, gdzie niegdyś wrzał bój zacięty — teraz cisza, tylko wysoko grają skowronki, a dokoła koniki polne. I stanęła mi żywo w wyobraźni ta odległa chwila, pełna wrzawy wojennej, gdy surowe, muskularne postacie Gallów zwarły się z żelaznymi legionami rzymskimi w tytanicznych zapasach. Zdało mi się, że ponad tą wrzawą rozbrzmiewa piorunowy głos Vercingétorixa i połyskuje jego miecz płomienny. I stałem tak długo samotny wśród nieprzejrzanego przestworu, wśród potoków światła słonecznego, wśród upajających powiewów wiatru, oddalony o setki mil od kraju, od wrażeń szarego życia codziennego. Straciłem poczucie rzeczywistości, zdało mi się, że wszystko, co widzę, co mię otacza, jest sennem marzeniem; poczucie czasu też zdawało się we mnie zanikać: dawne walki orężne zlewały się z nowemi, ideowemi; wiatr, który mię owiewał, śpiewał mi jakieś melodye mistyczne, w których odczuwałem zarazem i jakąś zamierzchłą przeszłość — dzieciństwo ludzkości, natury — i jakąś niepochwytną, niepojętą, daleką przyszłość — nadczłowieczeństwa.

Słońce już się znacznie zniżyło, gdym się otrząsnął z zadumy, by pospieszyć powrotem.

Schodząc z wyżyny inną nieco drogą, napotkałem pod Romagnat kopalnię wapienia: długi, nizki, błotnisty, ciemny tunel prowadzi do wnętrza tego wapiennego fundamentu Gergovii. Przy bladem świetle latarki górniczej widać tu pośród wapienie dwie cienkie, poziome żyły bazaltu; widocznie bazalt wlewał się tu do jeziora, w którem osadzał się wapień; śladów metamorfizmu nie udało mi się dostrzedz na wapieniu.

Już pod wieczór wróciłem tą samą drogą do Clermontu, a obliczywszy się, że na dalsze wycieczki do ciekawej, południowej części Owernii, nie wystarczy mi już czasu, wyjechałem nazajutrz z powrotem do Lyonu, aby wdół Rodanu „rapidem“ przerzucić się na Rivierę — z dziedziny Plutona w dziedzinę Neptuna — nad upragnioną „Talassę.“

Wyniki tego systemu są i z konieczności rzeczy muszą być nader opłakane. Nie mogąc legalnie wyjeżdżać za granicę, chłopi udają się tam pokryjomu, narażając się na tysiące szykan, zwłaszcza w Prusach. Ci, co nie mogą wyjechać z kraju, podążają do miast, gdzie i tak już jest za dużo robotników i ludzie miejscowi chodzą bez pracy. W rezultacie — rozruchy głodowe, kończące się szarżą huzarów, setki ludzi po kryminałach, dziesiątki poranionych, trupy...

Oto wynik gospodarki konserwatywnej.

Odkąd narodowo-demokratyczne *Słowo Polskie* stało się organem Koła i takich karyerowiczów politycznych, jak osławiony prof. Głąbiński, nie ustaje ono nawoływać posłów stronnictwa ludowego „pod jeden znak“ — do Koła, zapewniając, że Rada naczelna stronnictwa ludowego, która się zbiera w końcu lutego, powinna się tem zająć koniecznie. Organ ludowców, *Kuryer Lwowski*, odpowiedział na to w sposób zupełnie stanowczy i — odmowny: „Dyskusya dowiodła — mówi on — że wstąpienie ludowców do Koła byłoby krokiem wstecznym i niepolitycznym nietylko ze względu na interesy ludu, ale również ze stanowiska narodowego. Z drugiej strony partya, mająca ogromną przewagę w kraju i w Kole polskiem, odrzuciła w organie swoim w sposób wprost brutalny wszelką myśl o ustępstwach dla posłów pozakołowych. Wreszcie posłowie ludowi przekonali się, że ich niezależności od Koła żąda stanowczo postępowa część społeczeństwa, a kierownicy Koła o żadnych warunkach słyszeć nie chcą. O bezwarunkowem poddaniu się większości Koła nigdy mowy nie było i być nie może. Wobec takich wyników publicznej dyskusyi można już chyba uważać sprawę za przesądzoną i, o ile nam wiadomo, posłowie ludowi nie zamierzają wszczynać w tej sprawie debatów na Radzie naczelnej. Lada artykuł dziennikarski nie jest w stanie zachwiać przekonaniem posłów ludowych, że obowiązki poselskie spełniają w myśl życzenia i żądania postępowych sfer społeczeństwa... Kwestya stosunku do Koła polskiego nie stoi wcale na porządku dziennym Rady naczelnej stronnictwa ludowego.“

Zdaje się, że nawet poseł Bojko, najbardziej skłonny do ustępstw na punkcie „solidarności narodowej,“ ostatecznie przekonał się, że przedstawiciel ludu, wstępujący do Koła, staje na jednym poziomie z pionkami ks. Stojałowskiego i wyrządza ciężką krzywdę temu ludowi, który go wybrał.

Ciekawa dyskusya toczyła się we Lwowie na zebraniu członków akademickiego koła Towarzystwa szkoły ludowej. Tematem rozpraw były włościańskie teatry amatorskie, którym specyalny referat poświęcił dr. Gargas.

Referent podniósł, że jakkolwiek sprawa teatrów ludowych w Galicyi od bardzo dawna nie schodzi z porządku dziennego, to jednak wszelkie próby praktycznego rozwiązania tej kwestyi wychodziły z zasadniczo mylnego założenia. Miano zawsze na myśli teatr dla ludu, ale nie mówiono o teatrze ludowym w ścisłem tego słowa znaczeniu. Tymczasem — zdaniem referenta — teatr złożony z aktorów zawodowych, z dwóch względów ma dla ludu tylko uboczne znaczenie. Przedewszystkiem bowiem składa się bądź co bądź z czynników obcych temu ludowi; następnie zaś taki zawodowy teatr wędrowny, jaki miał na myśli Wydział krajowy, zwołując w tej sprawie ankietę, jest właściwie kroplą w morzu. Potrzebowałby on co najmniej czterech lat czasu, aby objechać wszystkie miasteczka Galicyi, a lat 14, gdyby chciał dać przedstawienie w każdej wsi parafialnej.

Zupełnie inaczej przedstawia się teatr, głównie z ludowych, chłopskich żywiołów złożony. Taki teatr z natury rzeczy daleko żywiej przemówiłby do duszy chłopskiej, a przytem dałby się bardzo łatwo zorganizować, ponieważ w wielu miejscowościach istnieją już odpowiednie warunki po temu. Właściwie, już obecnie w wielu okolicach kraju tworzą się samodzielnie takie teatry. Chodzi więc tylko o ujęcie tego ruchu w pewne łożysko, o nadanie mu właściwego rozpędu, o wytworzenie zeń świadomej siły czynnej. Ta bowiem nowa jeszcze i mało zastosowywana forma podnoszenia poziomu kulturalnego ludu, może być nader skuteczną jako działająca przedewszystkiem na uczucia i wyobraźnię mas. Wiadomo przecież, że im niższym jest stan kulturalny danej grupy społecznej, tem bardziej wybitną rolę odgrywa w jego życiu duchowem uczucie i wyobraźnia.

Ponieważ sprawa teatru ludowego jest jeszcze bardzo mało zbadana, zarząd główny Towarzystwa kółek rolniczych rozesłał kwestyonaryusz, w którym zażądał opinii w tym kierunku, oraz jakie kategorye sztuki dramatycznej, względnie jakie utwory nadawałyby się szczególnie dla teatrów chłopskich, czy byłoby pożądanem szerzenie przedstawień jasełkowych, wznowienie dawnych widowisk ludowych, naśladowanie wzorów zagranicznych, tudzież utworzenie trupy wędrownej, może z aktorów-chłopów złożonej. Referent odczytał z odpowiedzi na to pytanie opinię dr. Piotra Chmielowskiego, Gabryeli Zapolskiej, Feliksa Konecznego i Lucyana Rydla. Zgodność tych opinij panuje tylko na jednym punkcie, mianowicie, że teatr chłopski powinien być zabawą ludową, która nie powinna odrywać włościan od roli, a powinna z nich czynić aktorów zawodowych. Natomiast w sprawie doboru sztuk ujawniły się dwie zasadnicze opinie. Gdy jedni oświadczają się za wprowadzeniem na scenę wiejską sztuk, wziętych z życia ludu, inni sądzą, że tego rodzaju przedstawienia nie będą przez lud należycie rozumiane, że należy raczej dawać na scenie ludowej sztuki historyczne i religijne, w których czynnik bohaterski, cudowny, nadzwyczajny wysuwa się na plan pierwszy. Zdaniem dr. Gargasa, wybór sztuki musi być zastostosowany do stopnia kultury, który w wielu okolicach kraju jest różny.

W końcu referent zachęcał młodzież akademicką do udziału w całej akcyi, bądź przez szerzenie idei, bądź przez współudział w samych przedstawieniach. W bardzo ożywionej dyskusyi omawiano kwestyę kierownictwa, udziału młodzieży akademickiej w akcyi, odpowiedniego repertuaru itd.

Odczyt i dyskusya przyczyniły się wielce do wyjaśnienia sprawy, która w najbliższej już przyszłości wejdzie na tory działania praktycznego.

Bardzo ważne ma znaczenie wydany świeżo okólnik Rady szkolnej, krajowej w sprawie zwalczania gruźlicy w szkołach. Okólnik zawiera szereg żądań pożytecznych, jak: zakaz plucia na podłogi i ustawienie w salach szkolnych spluwaczki lub wiaderka, pouczanie dzieci o utrzymywaniu w czystości ust i zębów, zakaz całowania się w usta itd. Te żądania dadzą się przeprowadzić bez wielkich wysiłków. Trudniej już zadowolić wymagania, dotyczące wytworzenia pomyślnych warunków hygienicznych w budynkach szkolnych, jako też w otoczeniu szkół. Rzecz w tem, że wobec strasznej nędzy galicyjskiej przeważna część budynków szkolnych, jako też miejsc, gdzie te budynki się znajdują, bardzo mało ma wspólnego z hygieną. Usiłowania polepszenia tych warunków opłakanych rozbijają się o ubóstwo gmin.

Jest jednak w okólniku Rady szkolnej krajowej punkt, teoretycznie ładnie może wyglądający, lecz w praktycznem zastosowaniu graniczący z barbarzyństwem i mogący stać się nowem źródłem nadużyć ze strony inspekcyi szkolnej. Chodzi o to, że na podstawie okólnika Rady szkolnej krajowej władza ma prawo usunąć nauczyciela od nauki, jeśli można stwierdzić u niego gruźlicę (to samo odnosi się się i do dzieci). Dopóki byt nauczycieli, którzy zapadli na gruźlicę dzięki nienormalnym warunkom szkolnym w nieodpowiednich budynkach, w przepełnionych klasach, przy lichej płacy, nie zostanie zabezpieczony, usuwanie ich bez żadnego zabezpieczenia przyszłości będzie ciężką krzywdą.

Ten punkt wywołał głośne protesty w kołach nauczycielskich, które po za tem w ten sposób formułują program walki z gruźlicą w szkołach: 1) odpowiednie budynki szkolne (budowę szkół ludowych kraj powinien wziąć na siebie); 3) usunięcie przepełnienia w szkołach przez utworzenie nowych klas i oddziałów; 3) wprowadzenie w każdej szkole ćwiczeń fizycznych i wycieczek; 4) zmniejszenie materyału naukowego w szkołach ludowych, szczególnie w szkołach wiejskich; 5) zaprowadzenie instytucyi lekarzy szkolnych; 6) podwyższenie wynagrodzenia za obsługę szkolną.

W Krakowie powstało „Towarzystwo nauk społeczno-politycznych.“ Inicyatywę dało kilka jednostek, należących do neokonserwatywnego „Klubu,“ reprezentującego w Krakowie ten odłam reakcyonistów, którzy w odróżnieniu od stańczyków starszego pokolenia chcą oprzeć przewagę wielkiej własności ziemskiej nietyle na gwałtach administracyjnych, co na pewnych reformach społeczno-politycznych. Nowe Towarzystwo ma być odroślą „Klubu konserwatywnego.“ Ma ono urządzać odczyty z dziedziny socyologii, historyi, ekonomii, prawa i omawiać sprawy bieżące ze stanowiska naukowego. Następnie ma doprowadzić do skutku szereg wydawnictw treści społecznej, wydawać opinię naukową o sprawach, dotyczących działalności ustawodawczej państwa. Jakkolwiek olbrzymia większość członków nowego stowarzyszenia posiada barwę wybitnie konserwatywną (Leopold Jaworski, Caro, Wicherkiewicz, Ad. Krzyżanowski itd.), to jednak jest tam i parę osób z obozu postępowego, jak dr. Zofia Daszyńska-Golińska i dr. Stanisław Grabski. Do wydziału Towarzystwa weszli między innymi pp. Jaworski, dr. Caro, dr. St. Grabski, prof. Potkański, dr. Zygmunt Balicki, niegdyś postępowiec, a dziś propagator hakatyzmu w etyce.

Jakkolwiek nowe Towarzystwo posiada pewne cechy, zbliżające je z lwowską „Szkołą nauk politycznych,“ to jednak różni się głównie tem, że nie ma zamiaru wprowadzać w zakres swej działalności wykładów systematycznych.

Prof. Lutosławski wygłosił w Krakowie kilka odczytów na temat „Króla Ducha“ Słowackiego. Odczyty te gromadziły olbrzymią liczbę publiczności, żądnej słyszenia ekscentrycznych paradoksów nowego proroka. P. Lutosławski mówił nietyle o „Królu Duchu,“ co o niepokalanem poczęciu itp. rzeczach. Rozstrój jego umysłowy postępuje szybkim krokiem, a jeśli słuchanie człowieka nienormalnego, wygłaszającego odczyty publiczne, jest samo przez się rzeczą nieprzyjemną, to urządzanie sobie „sensacyi“ z występów takiego prelegenta przez szersze koła publiczności zasługuje na surowe napiętnowanie.

Daleki.

Z Niemiec.

Stoimy tu obecnie pod znakiem „polityki socyalnej,“ jak najbardziej nowożytnej przychylności dla reform. Przeforsowanie taryfy celnej za pomocą niesłychanego pogwałcenia zasad

parlamentaryzmu wywołało takie rozgoryczenie wśród szerokich mas, że rządowi i większości parlamentarnej, z wyjątkiem najbardziej ograniczonych junkrów, wydało się rzeczą pożądaną złagodzić złe wrażenie i sesyę parlamentu, pełną takich okropnych kakofonij, zakończyć nutą postępowości i współczucia dla ekonomicznie słabszych.

Podczas rozpraw nad budżetem Rzeszy poseł Bebel wygłosił mowę sensacyjną, w której brzmiała, ba! huczała nuta wręcz przeciwna. Z powodu pamiętnych mów cesarza Wilhelma II w Essen oraz Wrocławiu i z powodu odezwy następcy tronu do robotników w mieście Oels, w której setki tysięcy Niemców, trzymających ze stronnictwem mówcy, otrzymały bez obwijania w bawełnę nazwę „nędzników,“ Bebel również odrzucił na bok wszystkie względy i w mowie swej żądał, aby ktoś przecie był odpowiedzialny za te niekonstytucyjne wystąpienia, i przepowiadał odpowiedzialność przed bliską przyszłością. Na to uznał za niezbędne odpowiedzieć miodopłynny mówca, kanclerz hr. Bülow, podnosząc zasługi monarchii dla klasy robotniczej w Niemczech. Niewdzięcznicy! — mówił — przecie monarchia dała wam, i to dobrowolnie, nie będąc do tego zmuszoną, powszechne prawo wyborcze, a to są plotki, że je wam zamierza odebrać, przeciwnie, rada związkowa już obraduje nad moim projektem zaprowadzenia budek izolacyjnych, tak aby każdy mógł głosować swobodnie, bez obawy zdrady tajemnicy. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy zauważyć w tej chwili, że ta sama monarchia, tylko w swej roli nie-cesarskiej, lecz królewsko-pruskiej, powszechnego prawa wyborczego niemniej dobrowolnie tym samym poddanym nie dała, przeciwnie, zazdrośnie konserwuje przedpotopowy, oligarchiczny, Serwiusza Tulliusza przypominający system trójklasowy, i że tenże hr. Bülow, ale już w charakterze prezesa ministrów pruskich, nie przedstawił parlamentowi pruskiemu propozycyi zniesienia jawności głosowania przy wyborach pruskich. Widocznie więc była jakaś konieczność dziejowa, która musiała poprzednika teraźniejszego, miodopłynnego mówcy, Bismarcka, jak wiadomo, niepałającego tak znów bezgraniczną życzliwością do ludu, do wprowadzenia głosowania powszechnego przy wyborach do parlamentu Rzeszy. Nie trzeba oczywiście umieć tylu anegdotek z historyi starożytnej i obcej, co autor alegoryi o królikach, pożerających psy, ale wystarcza trzeźwiej nieco od niego patrzeć na nowożytne dzieje Niemiec, żeby zrozumieć, co to była za konieczność:—nieuleczalny partykularyzm „sprzymierzonych książąt“ mógł być przełamany jedynie przez wyraz woli ludowej.

Ale powróćmy do „polityki socyalnej.“ Monarchia — oświadczył kanclerz— w rzeczywistości więcej uczyniła w Niemczech dla robotników, niż zrobiono dotychczas w jakimkolwiek innym kraju. Na dowód przytoczył dwóch świadków, którzy mieli w kłopot wprawić krytyków. Oto—wołał— prezes deputacyi zorganizowanych robotników angielskich, która przyjechała do Niemiec studyować nasze instytucye ubezpieczeniowe i dobroczynne, w swej mowie pożegnalnej złożył hołd pamięci cesarza Wilhelma I, który potrafił zamienić w czyn słowo, wypowiedziane w orędziu do parlamentu w r. 1891 o opiece nad robotnikami. Oto minister Millerand — przecie socyalista! — w rozmowie z posłem niemieckim w Paryżu oświadczył, że celem jego jest doprowadzić we Francyi do tego, co w Niemczech stworzyła szlachetność i mądrość cesarza Wilhelma II. Nie dodał tylko p. kanclerz, czy komplement p. Milleranda wypowiedziany był przed, czy po otrzymaniu wysokiego orderu niemieckiego.

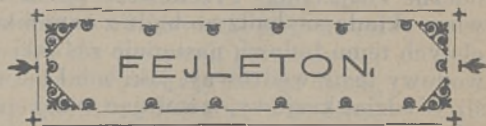
Ambasador w raporcie o tym fakcie niezmiernej doniosłości uznał za potrzebne dodać wyjaśnienie, że „Millerand energicznie dąży do podniesienia klas niższych, a burżuazya niezbyt jest temu przychylna.“ Cesarz Wilhelm II na marginesie raportu tego raczył własnoręcznie dopisać: „Prawda — i to wszędzie!“ Hrabia Bülow wreszcie te słowa swego pana w parlamencie zacytował. Nie podobało się to jednak wodzowi konserwatystów, Kardorffowi, więc mu kanclerz odpowiedział: „Ależ oczywiście, któżby nie uznawał, że nasi przedsiębiorcy wiele zdziałali do podniesienia klasy robotniczej i przyczynili się do prawodawstwa ochronnego...“ (*Uwaga*: właśnie w tej chwili gorąco protestują przeciwko planom skrócenia dnia roboczego dla robotnic do godzin 10...) — „ale cóż robić? w egoistycznej naturze ludzkiej leży niechęć każdej klasy społecznej do ofiar na rzecz innej. Tu właśnie musi monarchia godzić sprzeczności: przestrzegać robotników, aby nie żądali tego, co może osłabić zdolność narodu do konkurencyi na rynku światowym i podkopać ustrój społeczny, ale też i pracodawców wzywać do energicznego współdziałania w kierunku osłabienia różnic klasowych, podniesienia dobrobytu klas niższych, otwarcia ich członkom dostępu do wyższych szczebli drabiny społecznej.“ Stara pruska teorya państwa! „Zadaniem państwa jest trzymać rękę opiekuńczą nad ekonomicznie słabymi — oczywiście nietylko robotnikami, ale i rolnictwem.“ Stąd, ma się rozumieć, taryfa celna, bo junkrzy, dostarczający wojsku niemieckiemu lejtnantów, są ekonomicznie nadzwyczaj „słabi.“ „Monarchia na początku XIX stulecia znalazła przejście bez wstrząśnień od starego do nowożytnego porządku rzeczy: i teraz więc będzie umiała usunąć złe strony kultury nowożytnej o tyle, o ile to jest możliwe na naszej niedoskonałej ziemi. Zadaniem stulecia XIX jest równouprawnienie robotników z innemi klasami“ (tembardziej, że robotnicy „dobrowolnie“ zwracają się do cesarza z tak licznymi adresami hołdu i uznania za jego mowy w sprawie radcy tajnego) — „i rozwój prawodawstwa socyalnego.“

Lewica, wezwana w końcu przez miodopłynnego mówcę do porzucenia „zamków na lodzie“ i udziału w pozytywnych reformach; dla zamanifestowania swego posłuszeństwa temu wezwaniu postawiła zaraz dwa wnioski, zmierzające do rozwoju prawodawstwa socyalnego. Podług jednego wniosku rząd miał przedstawić projekt 10-godzinnego dnia roboczego dla wszystkich zatrudnionych w przemyśle, handlu i rolnictwie, ze skróceniem go w ciągu prawem określonego terminu do godzin 8; podług drugiego, dotyczącego reformy i udoskonalenia inspekcyi fabrycznej, miałaby ona być wykonywana wspólnie przez urzędników państwowych i przez przedstawicieli, wybieranych w głosowaniu powszechnem, tajnem i równem z uwzględnieniem proporcyonalnem kobiet pracujących. Oczywiście obydwa te wnioski, przez p. kanclerza zganione, nie mają żadnych widoków uchwalenia, ale na razie nie mają ich również znacznie bardziej umiarkowane propozycye paru posłów nacyonal-liberalnych i centrowych (Heyla i Trimborna), aby wiek, do którego młodzież w fabrykach podlega specyalnym przepisom opiekuńczym, podnieść z lat 16 do 18, dzień roboczy dla kobiet dorosłych skrócić z godzin 11 do 10 i zakazać dawania im po tych godzinach roboty do domu.

Mimo to jednak trzeba przyznać, już bez ironii, że na życzenie rządu parlament postanowił przed ukończeniem sesyi załatwić dwie dość ważne reformy z dziedziny ochrony robotniczej: zakaz używania fosforu, sprawcy strasznej nekrozy, do fabrykacyi zapałek, i prawo, ochraniające wyzysk dzieci w rzemiośle i w pracy domowej, do którego jeszcze kiedyindziej powrócimy. Już komisye zrobiły swoje, już się temi sprawami zajmuje plenum. Będzie to właśnie ów dobry efekt końcowy.

Przechodząc od socyalnej polityki państwowej do komunalnej berlińskiej i do usiłowań osób prywatnych dobrej woli, spostrzeżemy, że na porządku dziennym stoi obecnie sprawa mieszkań dla robotników i robotnic, żyjących samotnie, niemających jeszcze — albo już — rodziny; sprawa to istotnie pierwszorzędnej wagi. W Berlinie statystyka liczy do 100,000 takich robotników i robotnic, którzy mieszkają „po kątach,“ czyli wynajmują tylko łóżko na noc od jakiejś rodziny. Położenie ich jest okropne — szczególniej może robotnic. Takiemu lokatorowi w dzień niewolno być w swojem mieszkaniu, bo przeszkadza gospodarzom, wolno mu tylko nocować; jest to okropne szczególniej podczas braku roboty, bo wtedy robotnik, czy robotnica musi cały dzień, choćby w mróz czy słotę, przespacerować po mieście. Mieszkanie „po kątach“ ma też mnóstwo złych stron pod względem hygieny i moralności rodzinnej. Stąd usiłowania zapewnienia nieżonatym robotnikom i niezamężnym robotnicom mieszkań tanich, zdrowych a samodzielnych; w Anglii istnieją specyalne w tym celu hotele, które się dobrze opłacają zresztą. W Berlinie dotychczas jest tylko dom związków zawodowych, ale ten ma charakter chwilowego przytułku dla robotników zorganizowanych, przejezdnych, albo przybywających szukać pracy; w roku 1891 korzystało z tego przytułku 12,400 osób, które jednak razem spędziły tam tylko 57,500 dni, a właściwie nocy. Dom ten daje związkom zawodowym 3% czystego dochodu. Dalej, na Alexandrinenstrasse istnieje od lat siedmiu t. zw. „Marienheim“ na 100 łóżek—tanie mieszkanie i utrzymanie dla dziewcząt, i wreszcie od r. 1895 „Gesellenheim“ na 68 łóżek dla kawalerów, założony przy Neuschönhauserstrasse przez stowarzyszenie kawiarni i restauracyj ludowych. Jak widzimy — kropla w morzu! Otóż przed paru miesiącami utworzyła się z inicyatywy prywatnej ludzi takich, jak Schmoller, Lassar, Hitze i in., komisya w celu zakładania domów ludowych, która za pierwsze zadanie postanowiła sobie — zaradzenie złym skutkom mieszkania „po kątach.“ Specyalny znawca tej sprawy, Artur Dix, nawołuje komisyę do energiczniejszej czynności, a oprócz tego przypomina jej, że w niektórych innych miastach niemieckich istnieją już takie hotele dla samotnych robotników, ale ludność robotnicza, pomimo taniości i względnych wygód, stroni od nich dlatego, że mają firmę partyjną lub wyznaniową i że panuje w nich surowy regulamin, krępujący swobodę osobistą. Tego więc koniecznie uniknąć należy. Jednak z początku ludność nie będzie pewnie miała zaufania do nowej instytucyi, prywatne kapitały nie będą w stanie przetrzymać tego krytycznego początkowego okresu — bezdywidendy, i dlatego sprawą powinien się zająć zarząd miejski, któremu pieniędzy pożyczyć powinien krajowy zakład ubezpieczeniowy.

Erka.



PAMIĘTNIK.

Zarobkujący hrabia.

My, — współpracownicy *Prawdy* — żyjemy po za granicami „świata.“ Zwykle też dowiadujemy się o je-

go ważnych wypadkach wtedy dopiero, kiedy one już przechodzą do historyi. Ileż to razy zdarza się, że p. A. zdobył w karnawale niewiędnące nigdy wawrzyny wodzireja, że p. B. wyprawił w styczniu majówkę z muchami, które umyślnie na ten cel do jego pałacu sprowadzone zostały z Sycylii, że p. C. oddalił swoją metresę, która (za jego pieniądze) zwyciężyła w Nicy księcia Walii ubraniem swego powozu podczas *corsa* kwiatowego, że pp. D. i E. dokonali między sobą w kontredansie małżeńskim „zmiany dam“ — itd., my zaś ani się domyślamy tych „evenementów“ i „konfliktów,“ chociaż o nich mówi „cała Warszawa.“ Nie dziw więc, że po naszą wiedzą i uwagą obiegła „salony“ wstrząsająca nimi wieść o zamiarze jakiegoś arystokraty wystąpienia na scenie „Teatru złudzeń“ w roli śpiewaka. Z początku mniemano, że to pańska fantazya, a potem przekonano się, że to pański dramat. Opowiedział go *Wiek* z głębokiem rozrzewnieniem. Gdy nadszedł dzień widowiska, zaczęły się wieczorem zjeżdżać eleganckie powozy — „to arystokracya spieszy zobaczyć na estradzie *swojego*.“ Wkrótce zapełniają się loże — „nawet prasa jest na stanowisku, jakolwiek to tylko teatr złudzeń.“ Podczas pierwszych odsłon przedstawienia panuje wątpliwość: czy też będzie miał odwagę? Nareszcie zasłona podnosi się po raz ósmy i na estradzie ukazuje się hrabia. „O twarzy inteligentnej, z podniesioną dumnie głową, wyszedł, zaśpiewał i zwyciężył. *Wszystkie* dłonie złożyły się do oklasku, ale on stał drżący, blady, z wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeni dalekiej.“ Po widowisku sprawozdawca *Wieku* odszukał hrabiego i zapytał go o powody wstąpienia na drogę szansonisty. „Ożeniwszy się — odrzekł badany — otrzymałem w posagu rentę tak skromną, że na utrzymanie nawet nie starczy... Jedynie na własną pracę liczyć mogę. Szukałem innych środków zarobkowania, ale napróżno! Zresztą gdzie i jakie mógłbym znaleźć zajęcie, skoro nie uczono mnie żadnej pracy produkcyjnej. Wszak znany jest panu system wychowania młodzieży w sferze naszej.“ W tym śpiewającym hrabi najbardziej nam się podoba jego szczerość, która nietylko objaśnia jego karyerę, ale rzuca światło na tę warstwę, z której wyszedł. Tak, arystokrata polski, jeśli mu wyschną źródła dochodów, staje się takiem bezwzględnem niczem, że może uratować swój dalszy byt albo posadą krupiera w domach gry, albo śpiewaka w teatrzyku. Tyle zwykle umieją „naturalni przewodnicy narodu.“

Nasz raj.

Co byśmy zrobili, gdyby ktoś z nas wynalazł szczepionkę przeciwgruźliczą? Donieślibyśmy z wielkim hałasem, że Komzak przyjedzie na koncert do Filharmonii. A co byśmy zrobili, gdyby ktoś z nas, jak astronomowie poczdamscy, odkrył podwójne słońce? Napisalibyśmy obszerne studya o „Walkiryach.“ Bo trzeba raz na zawsze zapamiętać sobie jako ogólną regułę bez żadnych wyjątków: nasza dusza przyjmuje to tylko za wielki i ważne, co jej się przedstawi pod postacią widowiska — na scenie lub estradzie. Mogłyby się narodzić między nami całe gromady Arystotelesów, Baconów, Darwinów, Helmholtzów — nawet rodzimy pies polski by ich nie obwąchał; podczas gdy najmniejszy teatropisarz lub muzyk może być pewien, że do końca życia przeleży pod mikroskopem krytyki i ciągle sygnaturki prasy będą donosiły o jego wielkości. Ktoś, kto umiałby przerabiać dzieła i rozprawy naukowe na utwory sceniczne i konkursowe, ktoby np. astronomię wcielił w operę, biologię — w dramat, filozofię — w symfonię, ten byłby największym reformatorem naszej umysłowości. Dowodem odczyty publiczne, które wtedy mają największe powodzenie, kiedy są ilustrowane żywymi obrazami.

Wszyscy zwycięzcy w konkursie dramatycznym imienia Sienkiewicza mogli byli napisać te same utwory a nawet stokroć lepsze i nikt by nanie nawet nie chrząknął, gdyby pozostały były w książkach i nie weszły na scenę. Ale ponieważ urodziły się z widowiska, jakiem jest już sam turniej konkursowy, ponieważ mają ukazać się w teatrze, więc odrazu nabrały tak wielkiego znaczenia, że krytycy piszą o nich obszerne rozprawy i odbywają pielgrzymki do miejsca ich przedstawienia. Łódź oglądała niezwykły ich zlot w tamtejszym teatrze, gdzie odegrano odznaczony dramat p. Grabowieckiego p. t. „Sprawa Kępiny.“ Były przytem uczty, toasty i okrzyki „w górę serca“! Oto jest dopiero ciekawy widok dla tych, co nas obserwują i opowiadają w Europie dziwy o szczególnym narodzie, który całą swoją uwagę, wszystkie swoje uczucia społeczne włożył w teatr i salę koncertową, który zapomocą nich głównie wzrusza się, filozofuje, zbiera jałmużnę dla nędzy — słowem, żyje. Inne organy życia prawie w nim zanikły, tylko te dwa rozrosły się do potworności. „Co się też stało z X, który studyował na uniwersytecie berlińskim i zapowiadał się jako świetny umysł?“ — pytał nas pewien Niemiec. Ciągle choruje — odrzekliśmy; w rzeczywistości zaś ów X. wróciwszy do kraju, przestał pisać książki, a nie mogąc pisać dramatów, komedyj, fars, nocturnów, suit i koncertów, marzy o prelekcyach z żywymi obrazami. Roztropnie też zrobił ów nasz Zaratustra, który długo wędrując „po drogach (nagiej) duszy,“ ostatecznie objął dyrekcyę trupy teatralnej „Pod tym znakiem zwycięży“ — przynajmniej o tyle, że ma zapewnioną dzierżawę uwagi publicznej. Gdyby między nami ukazał się Dante i stworzył „Boską komedyę,“ przedstawiłby raj jako przestrzeń zapełnioną teatrami i salami koncertowemi, zaludnioną przez samych aktorów, śpiewaków i muzyków, a brama do niej nosiłaby napis: „przeze mnie wiedzie droga wiecznej szczęśliwości.“

Z worka Judaszów.

W chwili, kiedy śruba hakaty, pokręcana rękami junkrów, do granic ostatecznych ścisnęła pierś ludu polskiego w Poznańskiem, śruba klerykalna, pokręcana rękami księży, gniecie umysł tego ludu fałszowaniem najszczytniejszych nauk Chrystusa. Dnia 20 października 1901 roku na zebraniu katolickiego Towarzystwa robotników polskich w Poznaniu ksiądz Zimmermann wygłosił to niesłychane zdanie, że „ziemia została z powodu grzechu pierwszych rodziców w raju przeklętą!“ Wtedy jedna z wrażliwszych słuchaczek, p. Jadwiga Gulińska, zawołała w oburzeniu: „Oszust, bałamut! Ksiądz zdradza Chrystusa i was!“ Ksiądz kazał ją wyprowadzić z sali; wywiązała się potem polemika w pismach, która obecnie odbiła się szczególnem echem w „Poznańskiej czytelni dla kobiet.” Szlachetny ksiądz, który widocznie nie pamięta, że wedle wpojonej mu nauki, Chrystus właśnie dlatego zszedł na ziemię, aby odkupić winę pierwszych rodziców i zdjąć z ziemi przekleństwo, który mówił maluczkim, iż będą wywyższeni, ten ksiądz dowiedział się, iż śmiała oponentka jest członkiem czytelni, więc pomieścił w *Kuryerze Poznańskim* (a *Kuryer Poznański* przyjął) grzmiącą odezwę, aby ją z czytelni wykluczono; między innymi powodami przytacza właśnie ten, że kobieta owa śmiała „przy zdaniu, iż ziemia została z powodu grzechu pierwszych rodziców przeklętą, zawołać: oszust, ksiądz zdradza Chrystusa i was!“ Nie mniej szlachetny *Orędownik*, popierając skwapliwie żądania ks. Zimmermanna (przez dwa *mm* i przez dwa *nn*), pisze: „Ks. Zimmermannowi należy się uznanie, że tę sprawę, znaną zresztą w pewnych kołach, poruszył publicznie i przestrzegł zawczasu panie z Czytelni.“ Ale na szczęście większość pań okazała się nieczułą na wrzaski, wychodzące z wora Judaszów. Czy jednak ten dzielniejszy żywioł zdoła skutecznie i wszędzie powstrzymać zakręcanie klerykalnej śruby? *) Walka powyżej opisana trwała dwa lata. A przypatrzmy się temu, co się dzieje w Poznańskiem tylko w ciągu jednego roku. Dnia 28 lutego r. b. rozdano w sejmie pruskim posłom memoryał Komisyi kolonizacyjnej, który nas poucza, że w ciągu ubiegłego roku ofiarowało dobrowolnie Komisyi kolonizacyjnej ziemie swe na sprzedaż 94 polskich szlachciców i 148 polskich chłopów, lecz Komisya nie skorzystała z wszystkich ofert, kupując tylko 10 majątków szlacheckich i 10 chłopskich! Ha, skoro za grzech pierwszych rodziców Bóg przeklął ziemię, może sobie zarówno szlachcic poznański jak i chłop poznański powiedzieć: bierz tedy, Niemcze, tę przeklętą ziemię a daj pruskie marki, bo przynajmniej ks. Zimmermann nic o ich przekleciu nie wspominał... Tylko, że hańba to ostateczna, chcieć zaprzedać duszę dyabłu a dyabeł oferty nie przyjmuje...

Z Tow. hygienicznego.

Dnia 24 lutego odbyło się posiedzenie wydziału hygieny zawodowej i przemysłu, którego przebieg był ciekawy. Przedewszystkiem zdumiewająco mała ilość uczestników stawiła się na zebranie. Fakt ten wyjaśniło prezydyum, wyrażając ubolewanie, że pomimo szczerych usiłowań nie udało mu się zainteresować sfer rzemieślniczych i przemysłowych, które sprawa hygieny zawodowej głónie zajmować powinna. Dowiedzieliśmy się z przykrością, iż rzemieślnicy nietylko obojętnie, lecz nawet wrogo usposobieni są do Towarzystwa, gdyż uważają, że wszystkie przepisy zdrowotne, wprowadzające pewne ulepszenia i wymagające może nieco wydatków, są jego dziełem. *Inde ira!* Jest to smutnem świadectwem nizkiego poziomu kulturalnego tych sfer. Nie współczują one swym robotnikom, nie rozumieją też dobrze swego własnego interesu.

Co tu się jednak dziwić rzemieślnikom, kiedy panowie przemysłowcy warszawscy nie lepiej czynią. Niema ich także wśród członków Towarzystwa, więc też posiedzenia wydziału odbywaja się bardzo rzadko z powodu braku prelegentów i referatów. Oczywiście, przy małej ilości członków inaczej być nie może.

Tym razem roztrząsano sprawę wciągnięcia do książeczek robotników fabrycznych pewnych przepisów zdrowotnych, lecz dla uzyskania prawa wprowadzenia ich w życie trzeba mieć odpowiednie rozporządzenie z ministeryum, o które fabrykanci powinni postarać się zbiorowo.

Dużo materyału ciekawego przedstawiał referat p. Geislera o „Pierwszej pomocy dla rażonych prądem elektrycznym.“ Wobec coraz szerszego zastosowania elektryczności w życiu prywatnem i publicznem, coraz bardziej rozprzestrzeniającej się sieci telefonów, tramwajów i oświetlenia elektrycznego, które Warszawa ma wkrótce otrzymać, możemy przeto być przygotowani na cały szereg nieszczęśliwych wypadków, wynikających z porażenia prądem elektrycznym. Wskutek tego należy z jednej strony przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ochronne, z drugiej— rozpowszechnić przepisy, odnoszące się do ratowania. Jedno i drugie wydział postara się urzeczywistnić wedle możności.

---

*) Według najświeższych wiadomości p. Gulińska została wykreśloną z listy członków Czytelni. (*Przyp. Red.*)

Kolonie letnie.

Zarząd Kolonij letnich dowiedział się w ciągu dwu ubiegłych sezonów rzeczy bardzo dziwnej i niezrozumiałej mianowicie, że półpłatny wyjazd na wieś kosztujący tylko 6 rb. za sezon nie miał dostatecznego powodzenia jakolwiek, trudno uwierzyć żeby brakowało rodziców, pragnących a raczej potrzebujących wysłać swe dzieci na lato na przystępnych dla kieszeni warunkach. Zarząd ma pewne podstawy przypuszczać, iż zbyt wygórywana drażliwość nie pozwoliła wielu korzystać z tego udogodnienia. Trudno jednak uwierzyć w taką małoduszność a nawet nieuczciwość wobec krzywdy, jaką to dzieciom, niewinnym ofiarom takiej miłości własnej, przynosi. W tym roku przez wzgląd na tak fałszywe zrozumienie godności osobistej Zarząd kolonij postanowił podnieść opłatę do 12 rb. za pół sezonu, a do 21 rb. za cały sezon. W ten sposób ma on nadzieję dania możności wielu niezasobnym rodzicom korzystania z okazyi wysłania dziecka na kilka tygodni na wieś. Gdyby ta ostatnia próba się nie powiodła, kolonie płatne mają być zupełnie zniesione.

Z miasteczek.

Dla człowieka znużonego gwarem wielkomiejskim niewysłowioną rozkosz sprawia myśl o wyjeździe do małego miasteczka. Jak tam cicho i sielankowo, jakie tam wszystko swojskie i tak bardzo, bardzo nasze: mięciutkie błotko na rynku i ulicach, harmonijnie pochyłe chałupy, pogodne oblicza obywateli miejscowych i ławka przed apteką, gdzie dokonywa się, wśród zebranej inteligencyi miejscowej rzeczowa krytyka stroju pani doktorowej, minki burmistrzówien, podziału Turcyi i przepowiedni Falba—wszystko tam jednem słowem inne i poczciwsze, niż u nas.

Otóż na tę Arkadyę uczyniono zamach. Jakiś p. St. Skalski w *Tygodniu* zapytuje prawników i wogóle ludzi, obznajmionych z warunkami życia naszych zakątków, czy niema jakichś przepisów, regulujących kwestyę budowania domów pod miastem, co dziś zawsze doprowadza do zatargu z wójtem i pociąga za sobą duże nieprzyjemności.

I po co ten hałas? przecież p. Skalski sam powiada, że wójt aczkolwiek z początku żąda zburzenia nowego domu i wogóle występuje bezwzględnie, później mięknie, a sprawę załatwia argument brzęczący na korzyść budującego; chyba że budujący jest pieniaczem, wówczas sprawa idzie do sądu, który skazuje właściciela domu na kilka dni aresztu z zamianą na grzywny „za wzniesienie budynku bez wyjednania odpowiedniego pozwolenia“. I koniec. I wilk syty i owca cała. Na co tu się przyda wszczynanie kwestyi w pismach, kiedy sprawę jak najlepiej załatwić można w domu.

Nuż podobni p. Skalskiemu nowatorowie zaczną wogóle sprawy miasteczek poruszać, krytykować np. ich budżety i dziwić się, dlaczego taka Łęczna wydaje, jak donosi *Gazeta Lubelska*, na szkoły 22 ruble, a na wydatki jednorazowe 2954 rb., na utrzymanie zarządu miejskiego 1653, a na porządki miejskie 315 rb. Co komu do tego? Czyń każdy w swojem kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży. Wydajemy niewiele, ale za to nie potrzebujemy zaciągać milionowych pożyczek, jak Warszawa — może takiemu dziwiącemu się panu odpowiedzieć sławetny obywatel Łęczny.

Przyczynek do kulturalności pewnych „inteligentów.“

Czytamy w sprawozdaniu czytelni bezpłatnej w Radomiu za rok ubiegły, zamieszczonem w *Gazecie Radomskiej*: „Ze smutkiem powtórzyć tu należy, że bardzo duża liczba dawnych czytelników, byłych urzędników kolei Iwangrodzko - Dąbrowskiej i innych osób, przeważnie z inteligencyi, bez względu na niejednokrotne prośby drogą korespondencyi i przypominania w *Gazecie Radomskiej*, pożyczonych książek dotąd nie zwróciła.

Niektórzy tylko czytelnicy dawni poczuli się do obowiązku zwrócenia bądź książek pożyczonych, bądź wartości za nie, większość nie odpowiedziała nawet na listy. Przypominania te pociągnęły za sobą pewien koszt, mianowicie wydatek paru rubli na marki pocztowe, koperty i papier, a dały bardzo mały rezultat. Jednem słowem, był to głos wołającego na puszczy.“

Dowiadujemy się dalej, że czytelnicy tej kategoryi działali z pewnym smakiem, gdyż zatrzymane przez nich książki są po większej części dużej wartości; mamy więc tu do czynienia z systematycznym — powiedzmy grzecznie — rabunkiem własności publicznej. Znamienny to rys stosunku naszej inteligencyi do instytucyi społecznej takiej doniosłości, jak jedyna na prowincyi czytelnia bezpłatna na większą skalę i przeznaczona głównie dla klasy uboższej ludności miejskiej.

Wiele się pisze i mówi o podniesieniu „lumpenproletaryatu,“ wiele czernidła drukarskiego zużyto na projekty rozszerzenia kultury i pojęć mas ludowych, czyby jednak nie warto było bliżej się przyjrzeć kulturze i pojęciom etycznym i społecznym pewnych grup inteligencyi, które, bądź co bądź, charakteryzuje wybitnie tak wysoce krytyczny pogląd na siódme przykazanie, jaki wykazali wzmiankowani inteligenci radomscy. *j.*

Zjednoczenie szewców łódzkich.

Wśród bogatszych szewców łódzkich powstała myśl zorganizowania w tem mieście stowarzyszenia wzajemnej pomocy biedniejszych majstrów i czeladników szewckich. Każdy, przystępujący do zjednoczenia, ma zapewniony, jak głoszą inicyatorowie, udział w zyskach, ogół zaś stowarzyszonych — normalny i sprawiedliwy podział zamówień i zarobków. Od wstępujących nie wymaga się żadnych wkładów w gotówce, a tylko dla pokrycia kapitału, wyłożonego przez założycieli, będzie potrącany przez dłuższy czas pewien mały odsetek z zarobku tygodniowego. Celem przyszłego związku ma być skuteczna walka z wyzyskiem lichwiarzy, spekulantów różnego rodzaju, a przedewszystkiem z konkurencyą tandeciarzy, zalewających Łódź swoimi wyrobami. Z czasem ma powstać własny sklep zjednoczonych szewców i własny skład skór w celu usunięcia dość dla biedniejszych szewców kosztownego pośrednictwa handlarzy. Zaznaczyć należy, iż podobne zjednoczenie istnieje i rozwija się pomyślnie w Częstochowie.

Myśli tego zjednoczenia, jak wogóle myśli wszelkiego zrzeszania się, przyklasnąć tylko można. Wyzysk drobnych szewców łódzkich, według *Gońca Łódzkiego*, z którego czerpiemy tę wiadomość, dochodzi do niebywałych rozmiarów, dość powiedzieć, że spekulanci-handlarze obuwiem za robotę najzwyklej płacą nie pieniędzmi, lecz kwitkami, za które szewc w sklepie, wskazanym przez handlarza, może otrzymać różne produkty. Z drugiej jednak strony przyszłość okaże, czy inicyatorowie zjednoczenia kilku większych firm szewckich w Łodzi, panując wszechwładnie w stowarzyszeniu, nie wyrobią sobie z niego pewnej grupy robotników i drobnych majstrów, uzależnionych od nich i zmuszonych oddawać swoją pracę i wyroby za cenę wyznaczoną zupełnie dowolnie, i czy owo zjednoczenie nie stanie się na małą skalę syndykatem, przynoszącym ogromne zyski grubym rybom, a całym ciężarem zwalającym się na barki drobiazgu. W takim razie, coprawda, ogół niewiele mógłby się spodziewać po nowem stowarzyszeniu. *f.*

LITERATURA I SZTUKA.

Oświata w dziełach Zoli.

W ostatniej seryi swych powieści Zola, jak wiadomo, obrał sobie za cel główny nie realistyczno-satyryczne przedstawienie społeczeństwa współczesnego, lecz malowanie idealnego obrazu przyszłości, wzorów do naśladowania — zwiastowanie „dobrej nowiny.“ Powieści te ośmielił się nazwać „ewangeliami“; co prawda, we Francyi nie trzeba było do tego wielkiej śmiałości. I oto w pierwszej — *Fécondité* — ze zgnilizny dzisiejszej rodziny, przez płodność, która jest u niego przedewszystkiem symbolem szczerości, posłuszeństwa naturze i wiary we własne siły, wywiódł ludzi do patryarchalnej, kwitnącej a zgodnej rodziny przyszłości. W drugiej — *Travail* — wzniósł na tym fundamencie wielki i jasny budynek ustroju społeczno-ekonomicznego, wymarzonej przyszłości zamiast czarnych i brudnych nor fabrycznego miasteczka. Po rodzinie i społeczeństwie zapragnął, jak się sam wyraża w zakończeniu trzeciej i ostatniej „dobrej nowiny“ p. t. *Vérité*, „utworzyć Naród,“ czyli wspólność ideowo-kulturalną, ludzi, ufających naturze i czczących pracę. Za środek zaś do osiągnięcia tego ideału uznał wychowanie od dzieciństwa w prawdzie i sprawiedliwości.

Plan tej powieści jest w zasadzie taki sam, jak dwóch poprzednich. Zola i tu, jak tam, znajduje jakiś czynnik zdrowy, czynnik postępu, wśród otaczającej ohydy. Czynnik ten walczy, wzrasta i ostatecznie zwycięża po ciężkich próbach. Czynnikiem takim w *Vérité* jest— szkoła świecka, przedewszystkiem elementarna szkoła świecka— ta odrobina oświaty wyzwalającej, na którą dotychczas Rzeczpospolita zdobyć się potrafiła dla ludu. Główną treścią powieści miała być walka tej szkoły i jej zasad z tak jeszcze potężną we Francyi szkołą kościelną, zakonną, tem najważniejszem narzędziem panowania katolicyzmu nad umysłami.

Z drugiej strony, gdy szło o przedstawienie w powieści zwycięztwa prawdy i sprawiedliwości, nie mógł się Zola oprzeć pokusie wprowadzenia do akcyi — całej sprawy Dreyfusa, w której odegrał, jak powszechnie wiadomo, tak czynną i rozstrzygającą rolę. Aby połączyć ten temat z powyższym, musiał omyłkę sądową i walkę o jej naprawę przenieść z wojska na grunt szkolny. Zużytkował w tym celu sensacyjną zbrodnię, która od czasu do czasu, przy pomocy dzienników, wstrząsa umysłami Francuzów: zgwałcenie i morderstwo dziecka. Rzecz dzieje się w małem miasteczku. Zbrodnię popełnił w rzeczywistości braciszek Gorgiasz, nauczyciel szkółki zakonnej, lecz podejrzenie, dzięki zbiegowi okoliczności, pada na Żyda Simona, nauczyciela szkółki rządowej, świeckiej. Duchowieństwo całe intryguje zręcznie za kulisami, aby uratować swego, a bezwarunkowo pogrążyć Simona; ma ono jeszcze tak wielki wpływ na sfery rządowe, urzędnicy, jak i ludzie prywatni, tak boją się jeszcze z niem zadrzeć, a przytem tak są steroryzowani przez krzykliwą i potwarczą prasę antysemicko-klerykalną, że sąd przysięgłych skazuje Simona na dożywotnie ciężkie roboty. Lecz znajduje on pełnych

poświęcenia obrońców w bracie swoim Dawidzie i w Marku Fromencie, nauczycielu ludowym, bohaterze powieści. Ich starania o rewizyę procesu spotykają się oczywiście z największemi trudnościami; wszystkie siły społeczne sprzymierzają się przeciw nim, posiłkując się głupotą i biernością opinii publicznej. Myśl o niewinności parszywego Żyda staje się zbrodnią przeciw kościołowi i ojczyznie. We własnym domu Marek walczyć musi z żoną, klerykalnie wychowaną i pozostającą pod wpływem fanatycznej babki. Całemi latami nie udaje mu się zrobić ani jednego kroku naprzód w sprawie Simona. Wtedy niezmordowanie pracuje w szkole nad wyzwoleniem umysłów dzieci z odwiecznej ciemnoty i przesądów, zaszczepiając im przedewszystkiem miłość prawdy i sprawiedliwości. Ta właśnie cierpliwa praca u podstaw przynosi pożądane owoce: jeden z małych uczniów, nauczony kochać prawdę nadewszystko, wyznaje Markowi, mimo zakazu matki, że widział u swego brata ciotecznego, uczęszczającego do szkoły braciszków, wzór kaligraficzny zupełnie podobny do tego, jaki znaleziono w pokoju zamordowanego chłopczyka i na zasadzie idyotycznej ekspertyzy pisma przypisano Simonowi. Prócz tego prezes przysięgłych, choć wierny katolik, dla ulżenia sumieniu decyduje się w końcu wyznać, że prezes trybunału zakomunikował przysięgłym w tajemnicy od adwokata list Simona, jak się później okazało, w części sfałszowany, który ostatecznie spowodował wyrok potępiający. Trybunał najwyższy po 15 latach kasuje wyrok, naznacza sąd nowy, lecz ten powtórnie skazuje Zyda, dzięki manewrom klerykałów. Rząd jednak ułaskawia Simona. Ostatecznie jego rehabilitacya przychodzi znacznie później — po nowych latach pietnastu, bo braciszek Gorgiasz, opuszczony przez swych przełożonych, przyznaje się do wszystkiego, wiedząc zresztą, że go od kary obroni przedawnienie. Wówczas dzieci i wnuki tych, co obrzucali błotem skazanego Simona, urządzają mu trymfalny powrót do rodzinnego miasta i ofiarują dom ekspiacyjny. Staje się to dzięki temu, że szkoła świecka z jej nauką prawdy i sprawiedliwości zwyciężyła szkołę zakonną, że konkordat z Rzymem został zniesiony, a kościoły, pozostawione ofiarności skąpych wiernych, podupadły.

Jak widzimy, Zola powtórzył tu wszystkie fazy sprawy Dreyfusa, aż do przyszłych, które przepowiedział. Przepowiednie te mają, trzeba przyznać, wszelkie widoki sprawdzenia się i już się zaczynają sprawdzać. Jaurès, jak wiadomo, ma zamiar żądać ponownej rewizyi procesu na tej zasadzie, że w Rennes generał Mercier pokazywał sędziom po za plecami oskarżonego i adwokatów nowy dokument obciążający, „listy cesarza Wilhelma“ — zupełnie jak w powieści prezydent Gragon pokazywał im tajemnicze „zeznanie zakonnicy,“ o którem publicznie nie wolno było mówić. Trudno się dziwić wielkiemu pisarzowi, że przejęty do głębi walką o uniewinnienie Dreyfusa, to swoje pierwsze i jedyne wystąpienie na arenie nie literatury, lecz bezpośredniej walki stronnictw i życia publicznego, zapragnął uwiecznić w literaturze i przy tej sposobności rzucić całej klice klerykalno-nacyonalistycznej zapowiedź ostatecznej porażki i upokorzenia. Jednak pomimo całego szacunku dla motywów, które autorem w tym wypadku kierowały, stwierdzić niestety musimy, że wprowadzenie sprawy Dreyfusa do powieści odbiło się w opłakany sposób na jej wartości artystycznej i społecznej, sprawiając, że ta w porządku chronologicznym ostatnia powieść Zoli jest zarazem bezwarunkowo ostatnią i w hierarchii, najgorszą ze wszystkich.

Przedewszystkiem ten balast bardzo źle oddziałał na opracowanie samego tematu zasadniczego i wpływu wyzwalającego szkoły świeckiej, w duchu prawdy i sprawiedliwości prowadzonej. W całem 750-stronicowem, czasami niesłychanie rozwlekłem dziele znajdujemy zaledwie kilka stroniczek (na początku części II), poświęconych opisowi sposobów, za pomocą których Marek „wyzwalał“ umysły dzieci. Dochodzenie do każdej wiadomości drogą osobistego stwierdzania faktów i własnego krytycznego rozumowania, sprawiedliwość, solidarność społeczna, miłość wzajemna, zapobieganie czci przemocy, siły brutalnej, tajemniczości — oto zasady tego wychowania wyzwalającego. Zasady bardzo piękne, ale o ich stosowaniu i oddziaływaniu na umysły dowiadujemy się tylko z tyrad autora, albo z gotowych już rezultatów, w które on nam wierzyć każe i z których najpiękniejszym ma być — rehabilitacya Simona, właśnie koniecznie Simona. Wziąć grono dzieci, ich rodziców i nauczyciela nowego pokroju, pokazać szczegółowo, jak taki nauczyciel rozbudza w każdem dziecku myśl i serce, prowadzi je do światła, jak jego wpływy walczą w duszy dziecka z wręcz przeciwnymi często, tradycyjnymi wpływami otoczenia, jak zwyciężają, jak taki wychowaniec „ewangelisty Marka“ stosuje nowe zasady w życiu wbrew staremu pokoleniu — oto przecudne zadanie dla powieściopisarza, które Zola musiałby był sobie postawić, gdyby istotnie chciał był dać coś równoznacznego „Płodności“ i „Pracy,“ ale którego wcale nie spełnił, i które czeka jeszcze na swego geniusza — bo tu potrzeba geniusza.

Zola, ten fanatyk „dokumentu,“ widocznie przed napisaniem swej „Prawdy“ po raz pierwszy nie prowadził prawie żadnych studyów przygotowawczych, które w danym wypadku musiałyby były być pedagogicznemi. Wszakże miał już stos cały „dokumentów“ ze sprawy Dreyfusa! Po co mu były inne? Wszak dla niego ta właśnie sprawa była objęciem całej walki sprawiedliwości i prawdy z niesprawiedliwością i fałszem. Stąd też płynie ciężka wada artystyczna powieści: jej okropna schematyczność. Zola coprawda miał zawsze skłonność do traktowania osób, jako tylko wcielenie sił społecznych. Pojmowanie takie, dające się obronić z punktu widzenia socyologicznego, nie szkodzi bynajmniej i artystycznej stronie powieści, jeśli towarzyszy mu właśnie — zapas zaobserwowanych, wystudyowanych faktów życiowych, zewnętrznych i psychologicznych. Tak było właśnie w całej przepysznej seryi Rougon-Macquartów i „Trzech miast.“ Z czasem jednak skłonność powyższa zaczęła się coraz bardziej przejawiać jako tendencyjność. Zola w „Płodności“ i w „Pracy“ opisuje już poprostu Arymana i jakiegoś Ormuzda, a pojedyncze osoby zamieniają się na pajace, które te zbiorowe siły ciągną za nitki. W „Płodności“ i „Pracy“ pajace te zachowują jeszcze bardzo wiele życia, krwi, kolorów i ciała; w „Prawdzie“ stały się prawie zupełnie papierowymi, *ad hoc* przez autora sfabrykowanymi. Oczywiście, że i tu jeszcze są wyjątki; i tu jeszcze przebłyski obserwacyjnego talentu wielkiego realisty dają nam wyborne typy. Na pierwszem miejscu między nimi postawiłbym starą panią Duparque, która, wydana za mąż w dawnych surowych czasach, nigdy nie zaznawszy ziemskiej miłości, została fanatyczną bigotką, nie waha się oderwać swej wnuczki od libertyna męża, a przegrawszy w tej walce, osamotniona, wini nawet księży o brak gorliwości, zrywa ze wszystkimi, zamyka się w swym domku i siedzi w ciemnym pokoju, „sam na sam z Bogiem,“ czekając śmierci. Dobry jest też braciszek Gorgiasz — portret majora Esterhazego, w sutannę przebrany — brutal, używający życia, grzeszący i kajający się co chwila, przekonany, że tylko Bóg i spowiednik mają prawo go sądzić i rozgrzeszać, a ludzkiej sprawiedliwości nic do niego, że w interesie kościoła wolno okłamać i zgwałcić. Świetnie się też udało Zoli symboliczne uosobienie drobnomieszczaństwa z jego dwoistością polityczną, z ekonomicznych interesów wypływającą: spółka dwóch sióstr Milhomme, z których jedna posyła syna do szkoły zakonnej, druga do świeckiej, aby przyciągać do swej księgarni klientelę z obu obozów; kolejno to jedna, to druga usługuje gościom i prowadzi interesa, zależnie od tego, które stronnictwo jest w danej chwili na wierzchu. O dawnej werwie pędzla świadczą jeszcze obrazy krzykliwej propagandy mnichów, stosujących pojęcia religijne, wbrew światlejszym kapłanom, do nowożytnych sposobów wyciągania pieniędzy z łatwowiernego tłumu. Kto czytał francuskie *Croix*, albo też — bliżej szukając — nasze sławetne *Wiadomości salezyańskie*, ten wie, jak trudno w malowaniu tych sposobów przesadzić, jak rzeczywistość blizka jest karykatury... A jednak Zola na tym punkcie nie uniknął przesady. Pomimo wszystko, niektóre rysy w jego obrazie klerykalizmu, tego Arymana powieści, są karykaturalne. Gdy opisuje intrygi kleryka-łów, to czasami nie wiadomo, czy się oburzać, czy wzruszać ramionami, tak pomysł w swej karykaturalności bywa naiwny. Wogóle, zaniedbanie studyów przygotowawczych i przeniesienie żywcem sprawy Dreyfusa na grunt nowy zdradza szereg nieprawdopodobieństw, a przynajmniej sytuacyj i epizodów niedość uzasadnionych. Gdy np. robotnik Deloir mówi o tem, że „ojczyzna przedewszystkiem“ i że „syndykat zabójców chce ją sprzedać,“ to byłoby to bardzo zrozumiałe, gdyby w sprawie szło o „honor armii,“ ale jest dziwaczne, gdy idzie o „honor kościoła“—we Francyi. Lecz Zola nad tem wszystkiem przechodzi do porządku dziennego ze spokojną naiwnością człowieka, wpatrzonego w cel końcowy—w tendencyę. Operuje on tu abstrakcyami, nic więc dziwnego, że wszyscy ludzie są płascy, szarzy, mgliści w konturach — istne cienie. Zdumiewające doprawdy w tak krótkim czasie — od napisania „Pracy“ — zaćmienie talentu!

Odbiło się to i na sposobie przedstawienia trzeciego jeszcze zasadniczego tematu dzieła: zatargu między wolnomyślnym mężem a klerykalną żoną. Dla Francyi, gdzie o umysłowość i przekonania kobiety nikt się nie troszczy, gdzie nawet jaskrawo radykalni politycy, którzy do syna księdzu przystąpić nie dadzą, córki oddają na wychowanie do klasztorów, temat to niezmiernie ważny. Pamiętam bardzo przykre wrażenie, jakie owładnęło ludźmi, gdy stary pamflecista Rochefort publicznie, w okrutny sposób szydził z Jaurèsa, że do chrztu swych dzieci sprowadzał wodę aż z Jordanu, a trybun skrajnych wrogów kościoła publicznie usprawiedliwiał się, że musiał ustąpić prośbom żony i matki... Psycholog ma tu zagadnienie głębokie; pisarz — sytuacyę tragiczną. Kwestyę tę traktuje też Zola stosunkowo najmniej pobieżnie, gdzieniegdzie ze swoim dawnym polotem i siłą, ale jednak niewystarczająco. To już pochodzi nietylko z formalnych wad powieści, lecz poezyi i z charakteru poglądów Zoli — postępowego mieszczanina francuskiego — na kobietę. Dla niego pozostaje ona zawsze dorosłem dzieckiem, rządzonem przedewszystkiem przez naturalne wymagania płci, które zatem wychowane i „wyzwolone“ być może jedynie przez męża. W tłomaczeniu przepaści duchowej między mężczyzną i kobietą pobieżnie tylko zwraca on uwagę na szkodliwe wpływy odosobnienia chłopców od dziewcząt w szkołach — zbadać je byłoby zadaniem wyżej postawionego powieściopisarza-pedagoga — a główny nacisk kładzie na wpływy duchowieństwa, które stara się opanować dusze żon i matek i w misteryach

daje kobietom zniepraważający surogat miłości... Psychologia taka, słuszna w wyjątkowych wypadkach, w uogólnieniu razi nieprzyjemnie przesadą wolteryańskich, jednostronnych „zjadaczy książy.“ Zgadza się ona jednak najzupełniej z wiarą Zoli, parokrotnie wypowiedzianą, że dopóki trwa między małżonkami zgoda w alkowie, dopóty i ich zgodność duchowa jest niezachwiana...

Nie! duchowa jedność kochanków w ideale wszechludzkim — ten szczyt poezyi — przerasta stanowczo Zolę, pomimo całej jego wielkości. Tu nowego trzeba, w całem znaczeniu nowego zwiastuna „dobrej nowiny.“ Co miało być treścią czwartej „ewangelii“? Zdaje się, że właśnie zagadnienie miłości. Przypuszczać to pozwala ostatni rozdział *Vérité*, umyślnie po to do całej powieści przyczepiony, aby zaznaczyć, że ani uregulowanie stosunków społecznych, ani nawet przekształcenie umysłowości ludzi w duchu prawdy i sprawiedliwości, nie usunie dramatów i cierpień miłosnych, jakkolwiek, zrobiwszy z kobiety samodzielnego człowieka, rozwiązanie jednych, leczenie drugich ułatwi. Zdaje się, że Zola umyślnie postawił to zagadnienie, aby je w następnej powieści, w zakończeniu tetralogii, rozpatrzeć. Oczywiście, duchowy zespół małżonków — czy kochanków — (podług Saint-Justa, jak wiadomo, mają to być w przyszłości synonimy) musiałby się wysunąć przytem na plan pierwszy. Po Płodności, racyi bytu rodziny, po Pracy, fundamencie gospodarstwa zbiorowego, po Prawdzie, zawierającej już w sobie Sprawiedliwość i stanowiącej wraz z nią niewidzialny cement społeczeństwa, kolej na Piękno — koronę życia ludzkiego. Po Mateuszu, Łukaszu, Marku przyjść musi — Jan. Lecz nie mógłby to być Jan Froment — co po polsku znaczy Jan Pszenica. Musiałby to — podług starego symbolu — być prawdziwy Jan Orzeł. Czy przyjdzie? Miejsce ma opróżnione. Ojcu Fromentowi los niepojęty jakby umyślnie w tej chwili pióro wytrącił z ręki...

K. Krauz.

ODCZYTY.

Prof. Henryk Struve: *Sztuka i społeczeństwo*

Profesor Henryk Struve w poniedziałek ubiegły rozpoczął w sali ratuszowej seryę odczytów na rzecz Kasy literackiej starannie opracowanym wykładem, do którego treści dostarczyło odwieczne zagadnienie: „Sztuka i społeczeństwo.“ Temat obszerny, wybiegający daleko poza ramy godzinnej prelekcyi, więc też autor, nie kusząc się o jego względne nawet wyczerpanie, rzucił jedynie w zwięzłym i jasnym wykładzie szereg myśli wytycznych, streszczających w ogólnych zarysach pogląd jego na znaczenie sztuki dla społeczeństwa.

Niezadowolenie ogółu z teraźniejszości, rys wspólny, jak się zdaje, wszystkim czasom, występuje ze szczególną wyrazistością i siłą w społeczeństwie obecnem, a naturalnym wynikiem tego stanu jest dążenie do ukształtowania przyszłości zgodnie z Ideałem. Bez ideałów niema przyszłości, one są dźwignią i duchem wszelkiego ruchu dziejowego, a najlepsze siły społeczeństwa pracują wytrwale w przeświadczeniu, że, dzięki ich wysiłkom, „rzeczywistość się pomału w świat przemienia Ideału.“

Gdy jednak w życiu urzeczywistnienie najgłębszych ideałów ludzkości natrafia nieraz na przeszkody nieprzeparte, jest dziedzina, gdzie one zawsze znaleźć mogą potężny wyraz i uzewnętrznienie, a dziedziną tą jest — świat sztuki. Ścisłego związku sztuki z Ideałem nie zdołały podkopać takie prądy, jak naturalizm i formalizm; zwalczanie ideałów w sztuce należy już do przeszłości. Dziś ukształcony ogół przyszedł ostatecznie do wniosku, że w zespoleniu ideałów z rzeczywistością ważna misya pośrednicząca przypada właśnie sztukom pięknym, z królową ich — poezyą — na czele.

Prawda, że sztuka nie jest jeszcze urzeczywistnieniem Ideałów; istotne przekształcenie teraźniejszości życiowej — to nie zadanie artysty, lecz cel kulturalnej pracy całego społeczeństwa. Ale praca ta właśnie odbywa się często według wskazówek i haseł, rzuconych ogółowi przez sztukę. Nie zmienia ona bezpośrednio danych warunków życia na lepsze, ale każdy prawdziwy artysta wyraża w swych dziełach najgłębsze potrzeby ogółu, przez co znów nowi pracownicy, występujący na arenę życia, w celu przekształcenia na lepsze jego warunków, nie czują się osamotnieni: dzieła sztuki i zachwy, wywoływany przez nie w szerokich masach, stanowią dla działaczów społecznych wymowną rękojmię, że dążenia ich podzielają —miliony. Z tego stanowiska uważać można sztukę za pewnego rodzaju przyobleczenie ideałów w pozory rzeczywistości, za antycypacyę, wyprzedzenie lepszej przyszłości, a każda ze sztuk pięknych w mniejszym lub większym zakresie przyczyniać się może w ten sposób do ogólnego postępu.

Zatrzymawszy się w dalszym ciągu nieco obszerniej nad znaczeniem w różnych krajach i czasach poszczególnycz sztuk pięknych dla społeczeństwa, prelegent zwrócił uwagę na osobisty stosunek poety-artysty do „tłumu,“ usprawiedliwiając poniekąd, w dzisiejszej zwłaszcza dobie sfilistrzenia powszechnego, poczucie pewnego arystokratyzmu duchowego wśród twórców. Niemniej jednak twierdzi on z całą słusznością, że prawdziwie wielki artysta nie wyrzeka się nigdy ścisłego związku z ogółem, który go wydał, niby swój kwiat najpiękniejszy. Sztuka ma swą własną dziedzinę i nie oto chodzi, by cele jej i zadania podporządkowywać przemijającym tendencyom i prądom chwili. Jedynem dążeniem artysty powinno być wypowiedzenie w formie najpiękniejszej i najsilniejszej tego, co mu leży na sercu, co go nagli do tworzenia, co stanowi treść jego duszy. Wszystko więc zależy tylko od tego, jaka jest właśnie ta dusza, czy jest w niej miejsce na miłość dla prawdziwie wielkich Ideałów.

Wł. Bukowiński.

Z RUCHU MUZYCZNEGO.

Ryszard Wagner: *Walkirye*, dramat muzyczny.

Ukazanie się na scenie warszawskiej części trylogii wagnerowskiej świadczy, że reżyserya ma dobre wyobrażenie o umuzykalnieniu naszej publiczności, nie szczędząc olbrzymiego nakładu pracy i pieniędzy na wystawienie takiego dzieła. Przedstawienia „Walkiryj,“ jak się zdaje, ściągają do teatru nie słuchaczy, lecz widzów, zachwycających się przepyszną wystawą, wraz z pleografem, po raz pierwszy stosowanym u nas do wywołania efektów teatralnych. Sądząc po wyrazie twarzy tych spektatorów, nudzą się oni straszliwie. Inaczej być nie może. Publiczność nasza jest nieprzyzwyczajona do muzyki poważnej, mało kto uprawia u nas muzykę kameralną, na koncerty chodzi się głównie, aby usłyszeć nadzwyczajności muzyczne, niemające ze sztuką nic wspólnego. Najpiękniejsze opery, jeśli nie występuje w nich jakaś reklamowana wielkość, nie wzbudzają takiego zainteresowania, jakiego należałoby się spodziewać. Dramaty muzyczne Wagnera tak są dla naszej publiczności niezrozumiałe, jak symfonie, choćby najbardziej w swej formie przejrzyste, nie zajmują ziewających słuchaczów. Nawet recenzenci, nie wszyscy, zdają się znać i rozumieć jego dzieła. Zajmuje ich tylko strona formalna muzyki, wyliczają ilość motywów przewodnich każdego bohatera, uważając reformy muzyczne Wagnera za wojnę, wytoczoną „rozkawałkowaniu“ (wyrażenie dosłowne) opery na pojedyncze arye, duety itp. Dziwić się należy, że nie zechcieli choćby teoretycznie zapoznać się z istotą idei reformatorskich Wagnera. Dramaty jego muzyczne są uzmysłowieniem walki ducha z materyą; nie arye melodyjne, nie popisy poszczególnych śpiewaków stoją tam na planie pierwszym, lecz ujęcie istoty duchowej bohaterów dramatu w jedną skończoną całość tak pod względem psychologicznym, jak i muzycznym. Orkiestra, śpiewy, chóry — są tylko środkiem do osiągnięcia tego celu, środkiem równej wartości w pojęciu kompozytora, co treść libretta.

Obrawszy sobie za cel uzmysłowienie walki ducha z materyą, Wagner nie chce popisywać się ani wielkiemi aryami, ani też kunsztowną robotą polifoniczną, choć go stać na to, lecz stara się, aby żywe słowo, dźwięk, taniec, nawet wystawa — dążyły do tego jedynego celu. Nie unika on bynajmniej pięknych, zaokrąglonych w formie melodyj, lecz zazwyczaj są mu one niepotrzebne, gdyż tam, gdzie wre walka, a do tego walka ducha z materyą, a więc najstraszniejsza i najpotężniejsza, niema miejsca na duety miłosne, ani formy zaokrąglone.

Wykonanie „Walkiryj,“ które z dramatów muzycznych Wagnera są najprzystępniejsze, odznaczało się niezwykłą starannością; ale co pomoże staranność przy odtwarzaniu obcych artystom naszym nastrojów? Z wyjątkiem p. Bandrowskiego, który jest, można powiedzieć, najznakomitszym przedstawicielem bohaterów wagnerowskich, reszta borykać się musi ze stylem dramatu muzycznego. Najgorzej było z wielką rolą Brunhildy (p. Tomkiewiczówna) oraz Wotana (p. Zawiłowski)! Pierwsza mogłaby z powodzeniem występować w operach włoskich, lecz nie w „Walkiryach“; brak pewności pod względem śpiewackim, a szczególniej aktorskim, psuje ogólny zespół; zaś p. Zawiłowski, którego głos wystarcza zaledwie do popisów salonowych, sprawia dziwne wrażenie na scenie wielkiej i do tego w dramacie muzycznym. Inne role wyszły zbyt blado, bez życia, choć były bardzo sumiennie i ze znajomością sztuki śpiewaczej odtworzone.

Urok.

NOTATKI NAUKOWE.

Historya. Pomimo wielkiej przewagi wyznania katolickiego w naszem społeczeństwie, pomimo nawet klerykalnego nastroju naszej literatury, dziwnym jest fakt, że „Zarys dziejów powstania i upadku reformacyi w Polsce.“ Waleryana hr. Krasińskiego, pozostał dotąd w oryginale angielskim, w przekładach francuskim i niemieckim, a dopiero teraz po 60 przeszło latach wydany został przez ks. pastora Jul. Burschego w tłomaczeniu polskiem. Praca to bardzo ciekawa, zajmiemy się też nią szczegółowiej, gdy wyjdzie cała. Obecnie bowiem ukazał się tylko tom pierwszy, obejmujący historyę rozwoju reformacyi w Polsce; tom drugi zawiera historyę jej upadku. Na przeszłość trzeba patrzeć z rozmaitych punktów widzenia, ażeby ją należycie zrozumieć. Nasz ogół nie oglądał swojej przeszłości z tej strony prawie wcale. A jednak odbicie w niej ruchu wszechświatowego było procesem pierwszorzędnym, do dziś rodzącym swe skutki.

POEZYE

KŁAM.

Kłam, bracie, tęgo, jeżeliś polityk,
W imię ojczyzny, wiary i zbawienia,
Rozum jest płytki, płytkie są sumienia,
Więc nie dosięgnie ciebie żądło krytyk!

Nie żal, nie skarga, ani lekki przytyk
Sądy społeczeństw poprawia lub zmienia;
Kłam a potwornie, kłam bez zająknienia,
To polityka — korona polityk!

A jeśli kłamiesz, niechaj twa źrenica
Blaski dobroci rozwiewa wokoło,
Niech bije z ciebie niemal wielkość ducha —

A chociaż w twoje siwe, stare czoło
Plunąćby mogła każda ladacznica,
Kłam, stary!.. kłamstwa lud zawsze wysłucha.

Andrzej Niemojewski.

SPRAWY EKONOMICZNE

Szał trustowy.

Niezmiernie ciekawy artykuł, napisany przez L. de Norvins'a, a zasługujący na obszerniejsze streszczenie, znajdujemy w styczniowym zeszycie paryskiego miesięcznika *La Revue.*

Pisma amerykańskie, powiada autor, posiadają rubrykę nie pozbawioną pewnego uroku. Drukują one mianowicie całe dramaty pod postacią danych statystycznych. Takim jest obraz rozwoju trustów, zdumiewający „romans cyfr“; objawy typowe i zaczerpnięte z działalności syndykatów, rzucają ciekawe światło na to olbrzymie zjawisko, które wyłania się z ostatnich sprawozdań rządu i zestawień statystyków urzędowych w Stanach Zjednoczonych.

Podług ostatniego obliczenia z r. 1900, istniało w Stanach Zjednoczonych 185 trustów, zatrudniających z górą 400,000 ludzi, to znaczy 8,4% wszystkich robotników krajowych, a wydających rocznie około miliarda franków na same pensye. Wartość rocznej wytwórczości trustów wynosiła około 8 miliardów franków. Jedna trzecia przemysłu chemicznego znajdowała się wtedy w rękach trustów, 22% alkoholowego, a 28% stalowego i żelaznego. Od r. 1900 rozrosły się trusty więcej niż o trzecią część swych poprzednich rozmiarów. Kapitał zbiorowy wszystkich trustów z roku 1900 wraz ze stalowymi wynosił blizko 16 miliardów franków.

Sześć towarzystw zawładnęło produkcyą skóry w Stanach Zjednoczonych, a kapitał ich wynosi 315 mil. fr. Ośm syndykatów zagarnęło w swe ręce całą produkcyę papieru, reprezentującą 119 fabryk i 300 milionów fr. kapitału. Produkcyę tytoniu opanowało ośm syndykatów, z kapitałem 90 milionów, itd. itd.

Aby dać pojęcie o wzroście trustów, wystarczy przypomnieć, że liczba ich przed rokiem 1897 wynosiła zaledwie 63. W 1897 roku powstało 8 nowych, w 1898 — 20, w 1899 — 79, itd.

W miesiącu maju 1900 r. stan trustów przedstawiał się jak następuje: 183 syndykaty pochłonęły 2,029 towarzystw przemysłowych!

Zwolennicy trustów na okrzyki zaniepokojenia odpowiadają optymistycznemi zapewnieniami, że ześrodkowanie działalności handlowej i przemysłowej w rękach syndykatów dozwoli obniżyć ceny i tym sposobem przyniesie zyski całej ludności.

Rzeczywistość atoli nie odpowiada tym wizyom szczęścia i dostatku, w które kazano wierzyć ludowi amerykańskiemu.

Pomiędzy rokiem 1897 a 1902 cena artykułów pierwszej potrzeby w Stanach Zjednoczonych wzrosła w następującym stosunku: opał 9,78, komorne 52,43, wyroby szewckie 16,07, produkty spożywcze 11,16 itd. (danych tych dostarczyło Biuro pracy i statystyki w Massachussets).

W miastach wielkich, jak Nowy-York, położenie klasy robotniczej, jako też drobnego mieszczaństwa stało się bardzo ciężkie.

Wszystkie ceny podskoczyły, a zwyżka trwa dalej. Oto kilka cyfr, wziętych z tablicy kursów giełdy nowojorskiej z d. 15 sierpnia 1901 r. i z d. 15 sierpnia 1902 r.:

wieprzowina	9	15	na sto
wołowina	16	20	„
jaja (tuzin)	16	28	„
masło (funt)	22	28	„ itd.

Pewne produkty, jak np. jabłka, wzrosły w cenie o 100%. Ceny potraw w restauracyach o 50% itd. Ludzie pracujący, nie mogąc wystarczyć na swoje potrzeby, domagają się powiększenia pensyi, a robotnicy, przyzwyczajeni do oszczędzania, obecnie muszą wszystko wydawać.

Wysłuchajmy skarg *New-York Journal'a*, jednego z wielkich pism nowojorskich, z d. 10 września 1902 r.

„Sandwicze, które w 1901 r. kosztowały 5 centów, dzisiaj sprzedają się po 10; table d'hote z 35 centów wzrósł do 50. Młode robotnice, którym wystarczało dawniej 40 centów na obiad, są obecnie zmuszone wydawać 60 lub głodzić się.“

Wszędzie drożyzna wzrosła w tym samym stosunku. Solidarność cen na artykuły spożywcze sprawdza się codzień z coraz większą tragicznością. Trustowi mięsnemu udało się podnieść ceny mięsa, a cena ryb morskich, które dotąd wymykają się wszelkim zabiegom trustów, wzrosły także w tym samym czasie z 20 na 28%.

Kiedy lud amerykański jęczy pod naciskiem trustów, Europa zdaje się korzystać z ich hojności. To złudzenie dobrodziejstw trustowych jest do tego stopnia oślepiające dla starego świata, że wielu jego myślicieli rozczula się nad tym stanem rzeczy, zniewalającym producentów europejskich do obniżenia cen. Nie należy bowiem zapominać, że syndykaty większą część swych produktów zbywają taniej w Europie, niż w Stanach Zjednoczonych. Rachunek ich zaś jest prosty.

Dzięki bezczelnej protekcyi i taryfie amerykańskiej, można bez obawy konkurencyi z zewnątrz zwiększać produkcyę na miejscu. To pozwala rozszerzyć pole działania i zalewać Europę wybornymi i tanimi wyrobami amerykańskimi. Przemysł europejski po rozpaczliwej walce musi się poddać; tak przynajmniej utrzymują Amerykanie. Na jego ruinach trusty amerykańskie owładną rynkiem światowym i zmuszą wówczas konsumentów starego świata do zapłacenia za ofiary, poniesione podczas lat walki. Plan ten ma widoki urzeczywistnienia. Przemysł amerykański, rozdrobniony, nie mógłby spekulować na dziesięcio lub dwudziestoletnie terminy wypłat. Zcentralizowany zaś, mając po za sobą cały lud amerykański, opierając się na kapitałach, przynoszących miliardowe zyski, a ponadto rozporządzając całą liczną armią poplecznikow (np. trust oceanowy), zwyciężyć w końcu musi. Jedynie unia celna Europy mogłaby zakłócić sen rozkoszny Nowego Świata. Lecz ta solidarność wydaje się niemożliwą, i dlatego Amerykanie wcale jej się nie obawiają.

Sylwetki kapitalistów, zdjęte z natury, wyjaśniają, w jaki sposób trusty mogły powstać w Stanach i zapuścić w ciągu krótkiego czasu tak głęboko korzenie. Grunt dawno był już przygotowany. Koalicya ich przeto nie dziwi nikogo, a znani pisarze nietylko jej bronią, lecz nawet wychwalają jej moralność. Zkoalizowany trust został uznany za jeden z pierwiastków dobrobytu narodowego, a jego obrońcy tak przekonywająco przemawiali, że większość, poszła tymi śladami, przeświadczona że czyni dobrze.

Trust mięsny dowiódł, do czego są zdolni przedsiębiorczy yankesi, gdy chodzi o zaokrąglenie milionów. Wszędzie uczucie ludzkości wstrzymałoby urzeczywistnienie idei, skazującej na takie cierpienia setki tysięcy biednych rodzin, ledwie mogących się wyżywić. Tu ludzie, posiadający olbrzymie majątki, nie obawiają się wywołać powszechnego oburzenia i gwałtownych ataków prasy. Gdy w grę wchodzi „bóg miliard,“ sumienie milknie, skrupuły nikną, a „cywilizowany“ bandytyzm występuje w całej swej nagości. Klasy wyższe, złożone z dziedzicznych bogaczy, patrzą z zadowoleniem, co może bezczelność trustu, zwracającego się przeciw biednym, a stworzonego przez „zbogaconych biedaków.“ Mimo to cześć dla dolara tak jest w Stanach Zjednoczonych powszechna, że prasa naprzykład zajmuje się nieustanie takim M. J. Pierpont Morganem, stawiając go na równi z panującymi w Europie. Dzienniki notują wszystkie najdrobniejsze szczegóły jego życia, a najgorsze czyny przedstawiają jako bohaterstwo, zasługujące na podziw i uznanie.

Gorączka trustów owładnęła społeczeństwem amerykańskiem; wszyscy chcieliby mieć w nich udział; i nic dziwnego, gdyż dają zyski wprost fantastyczne.

I nietylko w Ameryce znają się na ich wartości. Podczas wystawy paryskiej w roku 1900 miljarder amerykański Thomas F. Walsh z Colarado poznał się z królem belgijskim Leopoldem, który słusznie czy niesłusznie uchodzi za jednego z większych akcyonaryuszów towarzystwa „Société Internationale des Grands Hôtels.“ W drodze uprzejmości monarcha uczynił Amerykaninowi propozycyę umieszczenia kapitałów w przedsiebiorstwie, posiadającem cenny przymiot wzbogacenia kasy królewskiej tj. w Société des Wagons-Lits i w Société Internationale des Grands Hôtels, tłomacząc mu, że może z czasem osiągnąć 5 a nawet 6 od sta!

Walsh wysłuchał uważnie a potem, oświadczył jego królewskiej mości i obecnym, że żaden z jego dolarów nie zostanie zaprzepaszczony w tych przedsiebiorstwach....

Zdziwienie królewskie było ogromne, lecz wzrosło jeszcze bardziej, gdy mu Walsh wytłomaczył, że jego miliony marnują się w przedsiebiorstwach europejskich. W wolnej Ameryce, dodał, król mógłby osiągnąć co najmniej 10% zysku od swego kapitału.

Wszyscy wielcy przeciwnicy trustów w Ameryce zaczynają powoli jeden za drugim przystępować do tych organizacyj przemysłowych w celu zbogacenia się.

(D. n.)

S.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Przed kilku dniami minister skarbu przyjmował robotników niektórych zakładów przemysłowych Petersburga, proszących o danie

im możności osobistego wyjaśnienia p. ministrowi najwięcej zajmujących ich obecnie spraw, a mianowicie: zorganizowania wśród robotników deputacyi dla unormowania stosunków z zarządami zakładów, urządzenia kas chorych, oszczędnościowych itd. Wysłuchawszy robotników, minister skarbu powiedział im, że powinni z zupełnym spokojem i zaufaniem oczekiwać ukończenia prac, które w tym kierunku ministeryum skarbu przedsiewzięło w porozumieniu ż ministeryum spraw wewnętrznych, i mieć w pamięci, że rząd zachowuje się zawsze z należytą troskliwością względem dojrzewających potrzeb zarówno robotników, jak i innych klas ludności. Sprawy, które poruszyli robotnicy, wobec swojej komplikacyi, wymagają pewnego czasu do rozejrzenia się wśród nich i wprowodzenia w życie. (*Kur. Warsz.*).

— *Warsz. Dn.* donosi, że ministeryum spraw wewnętrznych zajęte jest sprawą uregulowania działalności biur pośrednictwa pomiędzy pracodawcami a robotnikami. Nadzór nad niemi objąć mają miejscowe urzędy administracyjne.

— Podniesiony został projekt postawienia pomnika ze składek dobrowolnych b. prezydentowi m. Warszawy, gen. Starynkiewiczowi. Koszt budowy obliczono na 20,000 rb.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę kas pogrzebowych w Radomiu i Ozorkowie (g. Kaliska).

— D. 25 z. m. otworzone zostało Muzeum pokoju powszechnego, w Monaco.

— Robotnicy kolejowi w Holandyi uchwalili urządzić strajk powszechny, ażeby zaprotestować przeciw ustawie, zabraniającej strajkowania. Ogół uczestników wynosiłby wtedy 90,000 osób. Jeżeli zmowa przyjdzie do skutku, to w Amsterdamie, Rotterdamie i Hadze ogłoszony ma być stan oblężenia.

Z Poznańskiego. Bank przemysłowy oraz inne instytucye finansowe w Poznaniu uchwaliły zamknąć kredyt tym, którzy oddają się grom hazardowym.

— Kardynał Kopp skazał na przymusowy wypoczynek w klasztorze wikaryusza parafii św. Piusa w Berlinie, ks. Skibę, za to, że z ambony ogłosił o zabronieniu mu przez inspekcyę szkolną nauczania dzieci polskich katechizmu i śpiewu kościelnego.

— Towarzystwo pomocy naukowej im. Marcinkowskiego w Poznaniu liczyło w r. z. 559 członków, dochód wyniósł 10,400 marek.

— W Gołubiu władze nie zatwierdziły kilkakrotnego już wyboru na członka rady szkolnej p. Tylickiego z powodu, że „posiada usposobienie wybitnie polskie."

— Pewna liczba kupców, poddanych austryackich, zamieszkałych w Zabrzu na Górnym Śląsku, otrzymało rozkaz policyi opuszczenia Niemiec w ciągu 3 miesięcy.

Szkoły i wychowanie. W rządowych gimnazyach męzkich lekcye gimnastyki, posiadające dotychczas charakter ćwiczeń wojskowych, mają być skasowane i przeniesione do prywatnych sal gimnastycznych, zaopatrzonych w odpowiednie przyrządy. Wykłady odbywać się będą w godzinach pozaszkolnych.

— Senat rozstrzygał niedawno pytanie, czy Żydówki, które ukończyły wyższe kursa żeńskie, mają prawo zamieszkiwać we wszystkich miejscowościach Rosyi na równi z osobami pochodzenia żydowskiego, mającemi dyplomy z ukończenia wyższych zakładów naukowych. Jednej z nich K. naczelnik Petersburga nakazał opuścić miasto. Na skutek skargi, wniesionej do senatu, wydalenie K. po za granicę Petersburga zostało wstrzymane. (*Juryd. Gaz.*).

— Szkoła polska w Białej na Śląsku otrzymała prawa państwowe.

Literatura i prasa. Komisya teatralna warsz. Tow. dobr. złożyła w banku p. f. H. Wawelberg sumę 700 rb., przeznaczoną na dwie nagrody (rb. 500 i 200) za napisanie utworu dramatycznego, wypełniającego cały wieczór. Pożądane są utwory komedyowe z wyłączeniem krotochwili. Termin nadsyłania sztuk oznaczony został w d. 1 września r. b. Rękopisy, przesyłane w zwykłej formie konkursowej, przyjmuje dyr. adm. kom. teatralnej, p. Benedykt Hirszband, przy ul. Zielnej nr. 31 m. 5.

— *Pet. Wiedomostiom* zabroniono sprzedaży numerów oddzielnych.

— W Kurytybie (Parana) zaczął wychodzić tygodnik p. t. *Robotnik polski*. Redakcyę objął p. Witold Białynia-Kowerski.

— W Gliwicach, na górnym Śląsku, od kwietnia r. b. powstaje tygodnik polski ludowy p. t. *Iskra*, redaktorem będzie p. Joachim Sołtys.

Ze sztuki. Warszawskie Towarzystwo artystyczne ogłosiło konkurs na znaczek korporacyjny. Nagroda 15 rb., termin 1 kwietnia r. b.

— Na konkursie Tow. artystycznego, ogłoszonym na płaskorzeźbę, przedstawiającą głowę Chrystusa, nagrodę przyznano rzeźbiarzowi Leopoldowi Wasilkowskiemu.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu wyjaśniło, że wydane niedawno rozporządzenie, ograniczające nabywanie materyałów na potrzeby instytucyj rządowych stosuje się nietylko do zakupów robionych bezpośrednio za granicą, ale także i do pochodzących od przedstawicieli firm zagranicznych oraz magazynów, sprzedających wyroby obce. Naczelnikom polecono, aby obowiązkowo wymagali od dostawców przedmiotów pochodzenia rosyjskiego.

— W celu popierania rozwoju chmielarstwa ministeryum rolnictwa zamierza urządzić w Królestwie Polskiem i w gub. Wołyńskiej stacye doświadczalne.

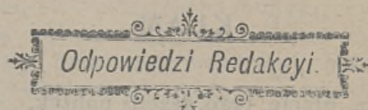
— Zatwierdzono projek ustawy warszawskiej kasy oszczędności dla pracujących w budownictwie.

Koleje i komunikacye. Komitet taryfowy w Petersburgu uchwalił podwyższenie o 10% podmiejskiej taryfy osobowej na kolejach skarbowych Petersburga, Moskwy, Warszawy, Kijowa, Charkowa i Rygi, zarówno przy biletach jednorazowych, jak miesięcznych, sezonowych i rocznych. Nadto podniesiono dopłatę na pociągi pospieszne kolei Warszawsko-Petersburskiej w klasie II—od Petersburga do Wilna o 5%, i od Petersburga do stacyj położonych za Wilnem — o 10%.

— Od 16 marca na kolei Warszawsko-Kaliskiej rozpocznie się przewóz wagonami pocztowymi wszelkiego rodzaju korespondencyi. Wymiana korespondencyi na tej linii odbywać się będzie: w Błoniu, Sochaczewie, Głównem, Zgierzu, Łodzi, Pabjanicach, Zduńskiej Woli, Sieradzu, Błaszkach, Opatówku i Kaliszu.

Katastrofy. D. 26 z. m. straszliwy huragan nawiedził północno-zachodnią część Wielkiej Brytanii. Runęło wiele domów i drzew olbrzymich, słupy telegraficzne zostały przewrócone, tak że komunikacya osobowa i telegraficzna była przerwana zupełnie między Londynem a Irlandyą i Szkocyą. Pomiędzy Corkiem i Uniwerstonem wichura przewróciła cały pociąg osobowy. Wybrzeża zarzucone są szczątkami rozbitych okrętów. Ofiar w ludziach dotąd nie obliczono. Szkody materyalne olbrzymie.

— D. 24 z. m. w Guadalajara (Meksyk) nastąpił wybuch wulkanu Colima, który zniszczył fermy okoliczne.



Czytelniczce z okolic Ciechanowa. Jedynie dr. Bronisław Malewski z Nałęczowa może dać Pani dokładne objaśnienie, gdyż od dłuższego czasu zajmuje się studyowaniem ubiorów ludowych w Polsce. Adres: Nałęczów dr. B. M.

Panu Barczyńskiemu w Warszawie. Moglibyśmy tylko ustnie udzielić żądanych wyjaśnień.

Wecz. Nie dla nas.

Campaneli. Nadesłanych: „Kosiarz" i „Zgon mistrza" drukować nie będziemy. Studyum „Mieszczanie" dla nas zbyt długie.

Panu L. B. w Petersburgu. Jak skomunikować się z dr. W., aby mu zwrócić rękopis „Nieco o głosach zaświatowych"?

Kobiecie z Bach. Nie jest to bynajmniej polemika, lecz niezależnie zupełnie wypowiedziany głos oburzenie wobec bezwstydu i braku godności tłumów — tej kategoryi.

Szanowny Redaktorze!

W nr. 8 *Prawdy*, w artykule „O bezecnej rzeczy" nie bez zdziwienia znalazłem moje nazwisko wplątane w polemikę z powodu głośnej sprawy *Humbert-Cotarello*. Osobiście uznaję za rozumny i uczciwy zwyczaj umieszczania obok nazwisk przeciwników — ich imion, a przynajmniej pierwszej litery, zwłaszcza jeżeli się ma do czynienia z nazwiskiem bądź co bądź nie obcem czytającemu ogółowi. Ponieważ jednak na wartość tego zwyczaju istnieją najwidoczniej różne poglądy — racz Szanowny Redaktorze przyjąć z mojej strony oświadczenie, że w sprawie *Humbert-Cotarello* nigdzie publicznie ani prywatnie głosu nie zabierałem.

Łączę wyrazy winnego szacunku

Eligiusz Niewiadomski.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Февраля 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.